Cena 5 zł.

ZDRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

ROK I. LUBLIN, 15 LISTOPADA 1945 R. Nr 6



DR JÓZEF GRABOWSKI

Zagadnienie upowszechnienia kultury

Demokratyzacja kultury jest hasłem dnia. Hasłem, które nie schodzi ze szpalt pism i jest na ustach polityków oraz działaczy społecznych. I jest do tego hasłem bezspornym. Nie budzi nawet poważniejszych zastrzeżeń w sferach konserwatywnego zakroju. Stało się bowiem ogólnie jasne, że każdy chce być i ma prawo być pełnowartościowym człowiekiem. Długa walka o ideały demokratyczne doprowadziła przynajmniej do tego, że sama zasada demokratyzacji kultury przestała być kwestionowana. Chodzi obecnie o jej realizację.

Jak we wszystkim, co ze sfery pomysłów wkracza w świat rzeczywistości, tak i tu zaczynają piętrzyć się trudności. Nie chcę wspominać o trudnościach techniczno-organizacyjnych. Przed nimi trzeba się wprzód uporać z trudnościami określenia samego zagadnienia, jego rodzaju i rozgałęzień. Bo pojęcie kultury nie jest ani proste, ani jednolite. A poza tym ludzie używając ogólnika: demokratyzacja kultury, nadają mu różne znaczenia.

Najczęściej pod pojęcie kultury podstawiamy dwa znaczenia: kultury materialnej, to jest tego wszystkiego, co służy potrzebom życia codziennego, a więc mieszkanie, ubranie, przyrządzanie potraw i t. d., oraz kultury duchowej, jak religia, etyka, oświata i sztuka. Rzadko zaś zdajemy sobie wyraźnie sprawę z tego, że oba te znaczenia nie wyczerpują bynajmniej najważniejszego zakresu pojęcia kultury i że istnieją jeszcze dalsze jego tereny, niepośledniego wcale znaczenia, jak na przykład formy obrzędowe i obyczajowe naszego życia, stosunek jednostki do życia zbiorowego itd.

Na tym nie koniec. Gdybyśmy nawet objęli cały istotny zakres znaczenia kultury, to i tak dalecy będziemy jeszcze od rzeczywistych jej odpowiedników życia, gdyż nie ma jakiejś jednej kultury w przestrzeni i czasie, nawet u jednego i tego samego narodu. Inna jest kultura warstwy chłopskiej, mieszkańców wsi, i warstwy robotniczej — mieszkańców miasta, nie mówiąc już o kulturze warstw posiadających. Kultura tej samej nawet warstwy społecznej różna jest w poszczególnych częściach naszego państwa. Zmienia się też ciągle jej oblicze w miarę przesuwania się czasu.

Przystępując do realizacji demokratyzacji kultury, musimy więc wprzód zdać sobie dokładnie sprawę z tego: czyjej kultury, z jakiego okresu i w jakim zakresie. Rozwiązanie tego zagadnienia zależne jest przede wszystkim od celu, który zamierzamy osiągnąć przez zdemokratyzowanie kultury, to jest ujednostajnienie form życia w zasadzie dla wszystkich.

Celów tych jest co najmniej dwa: wprowadzenie sprawiedliwości społecznej przez podniesienie całego narodu na wyższy stopień człowieczeństwa, oraz drugi, o którym się obecnie jakoś rzadko mówi, to unarodowienie naszego życia, nadanie mu form zgodnych z naszym charakterem narodowym. Przez zdemokratyzowanie kultury zamierzamy również osiągnąć i upowszechnić taki typ człowieka, któryby sprostał zadaniom historycznej chwili obecnej i był zdolny do budowy nowego jutra.

Wyłania się więc pytanie: czy istnieje, względnie czy istniała jakaś warstwa naszego narodu, której kultura upowszechniona mogłaby posłużyć do uzyskania pożądanego wyniku? Jasne jest, że nie. Ani klasa posiadająca, ani inteligencja, ani chłop, ani też robotnicy nie wytworzyli takiej swej kultury, która, wzięta en bloc, mogłaby być przyjęta jako wzór dla całości narodu. Ale nawet gdyby jakaś warstwa narodu posiadała kulturę, która nadawałaby się do upowszechnienia w warunkach dnia wczorajszego, to nowe jutro żąda nowych form i dawne już nie wystarczyłyby.

Wynika z tego zasadnicza konsekwencja: ideał nowej kultury, nadającej się do upowszechnienia, trzeba wprzód stworzyć. Materiału zaś do niego należy szukać zarówno w przeszłości, czerpiąc pojedyncze elementy z kultur wszystkich warstw — w zależności od przydatności ich do nowych zadań, — jak też w świecie projektów.

Zadanie to musi wziąć na siebie przedstawicielstwo narodu. Ono musi określić jasno, jaki człowiek, jaki typ jego kultury jest najbardziej pożądany dla utrwalenia bytu jego narodu i jego stanowiska wśród innych w świecie.

Jest to zadanie podstawowe, bez którego dokonania nie ma mowy o planowej, długodystansowej pracy wychowawczej narodu. Bez postawienia ideału naszej kultury nie można właściwie ani budować szkolnictwa, ani kłaść wytycznych dla organizowania życia sztuki, ani też myśleć poważnie o placówkach takich, jak domy kultury, świetlice i podobne, przeznaczonych dla urabiania człowieka.

Mimo ważność i pilność tego zagadnienia głucho jakoś, by ktoś się nim na serio zajmował. Padają tu i ówdzie pojedyncze, rozstrzelone hasła, tu i tam coś się montuje — ale i to pod kątem chwili tylko — i na tym koniec. Być może, że gdzieś się przygotowuje praca tego typu w zaciszu gabinetowym. Uważam jednak, że nie sposób rozwiązywać tego rodzaju problemu w ukryciu, zdala od społeczeństwa i współudziału w rezultatach tej jego żywej i myślącej części, która chce i musi brać udział w tworzeniu przyszłości narodu. Zagadnienie to musi się znaleźć na naczelnych miejscach pism, poświęconych życiu kulturalnemu i winno być na ich łamach publicznie przedyskutowane. Dopiero wyniki tej dyskusji, obok innych miarodajnych materiałów, mogą stworzyć podstawę dostateczną dla przedstawicielstwa narodu do powierzenia specjalistom ostatecznego sformułowania ideału nowej naszej kultury, zatwierdzenia jego i wysunięcia jako wzoru do naśladowania.

Wiem doskonale, że taką mechaniczną metodą kultury stworzyć nie można, ale tu chodzi na razie nie o tworzenie jej, lecz wysunięcie prototypu, zgodnego z potrzebami narodu. Ideał ten, mimo swój teoretyczny — raczej — charakter, nie może być stawiany abstrakcyjnie oraz tworzony wyłącznie z punktu widzenia optimum, ale musi się liczyć z naturą narodu i warunkami, w których ma żyć przyszło. Obrazowo możnaby to określić, że: stojąc obiema nogami na ziemi, rękami winien sięgać słońca. Konkretność jego musi być również tego rodzaju, żeby chociaż sformułowany z konieczności, ogólnie i ramowo, operował jednak określeniami pozytywnymi, łatwo i wyraźnie uchwytnymi pod względem pojęciowym.

Nie uprzedzając wyniku prac nad stworzeniem wytycznych dezyderatów dla nowej, upowszechnionej kultury polskiej — pozwalam sobie obecnie na rozpatrzenie szkicowe kilku jej składników. Nie mam zamiaru, bynajmniej, dokonać tego systematycznie i wyczerpująco, lecz jedynie chcę rzucić kilka myśli w formie niejako zagajeniowej, celem zilustrowania poprzednich wywodów teoretycznych.

Najmniej, stosunkowo, trudności nasuwa się przy określaniu ideału kultury materialnej, lecz i tu nie wszystko jest proste. Wydaje się na przykład, że należy dążyć do osiągnięcia przez wszystkich możliwie wysokiej stopy życiowej, to jest takiego mieszkania, ubrania, pożywienia i t. d., które były dotychczas przywilejem warstw posiadających. Nie można jednak zapominać, że warunki te pociągają za sobą nieuchronnie groźną w naszym położeniu zniewieściałość i wydelikacenie, które odbija się ujemnie również na tężyźnie fizycznej i zdrowiu narodu. Wysoki dobrobyt materialny wiedzie za sobą i inne jeszcze mankamenty. Na pierwszym miejscu należy wymienić przywiązanie mocne do dóbr materialnych i stworzenie sobie z nich celu życiowego, a tym samym odwrócenie uwagi człowieka od form życia wyższego, jak życie umysłowe, sprawy społeczne i podobne. Z wygód wytwarza się coś w rodzaju religii, czy światopoglądu, który zabija wszelką ofiarność na rzecz zbiorowości. Możnaby ciągnąć dalej łańcuch niepożądanych dla narodu konsekwencyj upowszechnienia stopy życiowej warstw posiadających — o ile, oczywiście, byłoby to możliwe do zrealizowania. — wystarczy jednak tyle do wysunięcia tezy: pożądana jest dla wszystkich taka kultura życia codziennego, któraby zabezpieczyła każdemu higienę i schludność oraz usunęła nieekonomiczne marnowanie sił, wynikające np. z braku wodociągów, centralnego ogrzewania, nieracjonalnego odżywiania itd. Wydawałoby się, że wywód ten pozbawiony jest aktualnego znaczenia praktycznego, gdyż nic nie wskazuje na to, by nam w najbliższych latach grozić mogło rozpowszechnienie wygodnictwa i smakoszostwa. Nie zapomnijmy jednak, że czasy odległe tkwią swymi korzeniami w okresie najbliższym, czego dowodem chociażby budowa nowej Warszawy, a więc warunków kultury materialnej dla całych przyszłych pokoleń.

Najważniejszym, bodaj, zadaniem w tworzeniu ideału powszechnej kultury polskiej jest postawienie zasad kultury życia społecznego, której byliśmy niemal pozbawieni, zastępując ją zdawkowymi formami kultury towarzyskiej. Była to jednak duża niewłaściwość. Uważam bowiem, że nie wolno w sprawach publicznych stosować takiej delikatności form i okrążania drażliwych czy niemiłych spraw, jak to się czyni w życiu prywatnym. Ileż to szkód ponosi społeczeństwo zawsze z tego powodu, że nie porusza się ani ściga nieprawidłowości, a nawet przestępstw w życiu publicznym jedynie dlatego, by nie czynić przykrości osobie za nie odpowiedzialnej. Dlaczego? Bo — obok innych przyczyn — taka właśnie forma postępowania przyjęta jest w życiu prywatnym. Nie jestem wcale za wyrugowaniem jej stamtąd, gdyż każdy ma prawo wybierać, swoim kosztem, między nieprzyjemnościami, ale nie wolno tego robić jednostce zajmującej stanowisko społeczne kosztem interesu społecznego. Może ktoś powiedzieć, że sprawa ta jest tak właśnie postawiona w pragmatykach służbowych. Zgoda, ale wiemy przecież równie dobrze, że przepisy były rzadziej stosowane niż zwyczaj, zacierpnięty właśnie z będącej w obiegu kultury towarzyskiej. Kultura zawsze znaczy więcej niż prawo, gdyż prawo mówi o tym, jak winno się dziać, a kultura jest wykładnikiem wartościowania ogólnie przyjętego, a więc aktualnie istniejącego. Bez zmiany kultury małe znaczenie posiada odmienny przypis prawny. Jaskrawy przykład rozdźwięku istniejącego między prawem a taką formą kultury, jaką jest nasza opinia publiczna, stanowi dwojaka zazwyczaj ocena kradzieży: ostra, gdy jednostka okrada jednostkę, a bardzo pobłażliwa dla okradających społeczeństwo w postaci instytucji prawno-publicznych i państwa. Jest to wynaturzenie, wynikające w dużej mierze z długiej niewoli, pogłębione ostatnio warunkami wojennymi. Stanu tego nie zmienią żadne represje sądowe, jeżeli nie dokona się obok tego zmiany pojęć w społeczeństwie, jeżeli nie nastąpi wprowadzenie nowej kultury społecznej. Dziedzina jej jest bardzo rozległa i objąć będzie musiała przede wszystkim życie polityczne, które jest przecie klasycznym terenem powstawania nowych form życia zbiorowego. Stan poprzedni jest w polityce nie do utrzymania. Stało się przecież publiczną tajemnicą, że w polityce były tolerowane wszystkie środki, prowadzące do celu. Dochodziło nawet do tego, że ludzie o wyrobionej kulturze etycznej trzymali się zdala od polityki głównie dlatego, by nie popaść w kolizję właśnie ze swą kulturą. Stan ten co prawda nie jest naszą polską specjalnością, a nawet, rzec można, został do nas zawleczony z innych krajów, — niemniej jednak bez zmian w tej dziedzinie będzie wręcz niemożliwe podniesienie narodu i zaprowadzenie właściwej kultury życia zbiorowego. A przecież my obecnie chcemy przenieść z jednostki na zbiorowość niemal cały ciężar życia zorganizowanego. Jakże podołamy temu zadaniu, jeżeli nie uzdrowimy wprzód form działania tej zbiorowości, jeżeli nie upowszechnimy nowej kultury!

Po przebieżeniu dwóch zagadnień, dla których rozwiązania należałoby szukać raczej w planowanej przyszłości, sięgnijmy, na odmianę, po temat związany przede wszystkim z przeszłością. Mam tu na myśli nasze życie obyczajowo-obrzędowe. To, co stanowi naszą fizjonomię narodową w sensie dodatnim. Wydaje mi się bardzo szkodliwe i zubażające nas duchowo zanikanie dawnych form życia rodzinnego i zbiorowego, jak wesela, zabawy, dożynki gromadne i t. p., a dalej święta Bożego Narodzenia czy Wielkanocy. Zamiast dawnych, pięknych, nierzadko głębokich i symbolicznych obrzędów, ważnych dla utrzymywania więzi plemiennej i kontaktu z przeszłością narodu i charakterem jego kultury — spotyka się dziś najczęściej lekkie, piankowe, niemal bezduszne formy nalotu międzynarodowego. Dawne misteria zostały odarte z treści duchowej i przemieniły się głównie w uczty i pijatyki. Dawniejszy dodatek stał się treścią właściwą, a treść właściwa dodatkiem i to zazwyczaj pomijanym. Należałoby ten stan zmienić. Życie obrzędowe winno znowu zająć ważne miejsce w nowej kulturze. Powrót do dawnego obyczaju nie jest jednak ani łatwy, ani też — nieraz — możliwy. Sam fakt zanikania obrzędów wskazuje wyraźnie na zanikanie źródła, które było podstawą ich bytu. Wyschłe źródła należy zastąpić nowymi. Pytanie tylko, czy jest to możliwe. Odpowiedź twierdzącą daje obserwacja życia narodowego ukraińskiego w tak zwanej Wschodniej Małopolsce. Jeżeli Ukraińcy zdołali przywrócić zanikający już strój narodowy oraz szereg obrzędów na wsi ukraińskiej, działając środkami uświadomienia narodowo-politycznego, dlaczegóżby nie było można obecnie, przy pomocy tych

Dalszy ciąg na str. 2-giej

JAN WIKTOR

Droga przez wieś

(fragment z pamiętnika)

W tym roku tak gorąco pragnąłem wyrwać się z miasta na wieś, aby spędzić choć parę dni wśród chłopów, poznać ich obecne bytowanie, wczuć się w panujący nastrój i odczytać opowieść, pisaną straszliwymi wyrazami na tej ziemi tak sponiewieranej, umęczonej i na jej mieszkańcach zdeptanych i zduszonych, wydanych na pastwę zagłady.

Właściwie przez ostatnie trzy lata byłem przykuty do miastowego bruku w zimie i w lecie, bo nic nie znaczą te krótkie, dorywcze wypady wobec moich przedwojennych wyjazdów w przeróżne strony Polski, wobec wędrówek po wszystkich częściach kraju, w czasie których poznawałem stosunki, można rzec, przykładałem ucho do serca ludu, wsłuchując się w każdy najtajniejszy puls jego wzruszeń i uczuć. Dlatego też z radością przyjąłem zaproszenie do Szyc, gdzie odbywał się kurs dla kierowników spółdzielni wiejskich „Społem", urządzony przez Wydział Lustracyjny. Byłem pewny, że przez te dni, w bezpośrednim zetknięciu się z przedstawicielami młodego pokolenia najbardziej twórczego i wrażliwego, dowiem się, jak wieś żyje, co czuje, czego pragnie, do czego dąży, co widzi, czego chce uniknąć, jakie są jej pragnienia, udręki, boleści, radości, porywy i w jakim stopniu oddziałała straszliwość tej wojny na duszę ogółu.

Siedzę na snopku słomy, rzuconym do wasągu plecionego z chrustu, już mocno sfatygowanego. Leniwie włokę się gościńcem, podartym tysiącami kół niemieckich, jakie tędy przetoczyły się w wędrówce na wschód. Woźnica wcale nie popędza konia, litując się nad jego wyglądem. Czasem wywija biczyskiem, zakrzyknie, ale zaraz odwraca się ku mnie z usprawiedliwieniem.

— Gdzieżto gnać chudoków... Litość bierze. Słabizna, no, bo z czego ma mieć siły. Z tego suchego siana? I ludzi i zwierzęta naokoło dręczą i żyły wypruwają. Co to za naród? Co to za naród? Chyba te ludzie nie od Boga pochodzą.

Jadę przez wieś, ongiś bajecznie kolorową, opiewaną przez poetów i malarzy. Porównuję ją z dawnym jej życiem na obrazach i poznać nie mogę. Umarł jej rozmach, zagasła barwność bijąca w oczy. Wszystko zszarzało, złachmaniło się i zgnoiło. Czasem wyłoniły się z sadów niebieskie ściany, czasem wśród gnojowisk zakwitły bujnie ogródki. Na podwórzach zaśmieconych, pod drzewami krzątał się łachman podmiejski, tandeta. Gdzież jest ów kmieć podkrakowski, pełen godności, dumy, honoru, gdzież są postacie tak nam bliskie, symboliczne, które wszyscy znamy z „Wesela". Toć tam jest ta chata, w której odbywał się najprzedziwniejszy obrzęd, najbardziej wstrząsający rapsod na przełomie dziejów, ta satyra, objawiona błyskawicami z serc żyjących i grobów wskrzeszonych. Wszystkie sceny ożyły. Wszystkie postacie wśród drzew ujrzałem. Nie było tylko chochoła, bo róże kwitły, jakby krew broczyła z niewidzialnej rany.

Czas przedżniwny, to też pustka na polach, ale też niewiele krzątaniny na obejściach. Czasem jakiś dziadyga, wymieciony z izby, kwęka na przyzbie pod słonecznikiem, rozpryskującym ziarna pod dziobami natrętnych wróbli. Przy płotach gospodynie w koszulach mocno schlastanych. Po wyrazie twarzy, po ruchach rąk można niemal zrozumieć, o czym trajkocą. Nie mają czasu — bo widzicie, kumo, ani obrobić się nie można nigdy, tyle zawdy uganiaczki i tyle utrapień, ani pozolić, ani upłakać się nie można. — Ale stoją i stać będą długo, bo tyle ciekawych wieści nazbierało się przez dzień, więc zaglądają pod cudze pierzyny, do garnków, do misek.

Obok dzieciska zasmarkane, zabrudzone bawią się po swojemu, jednako od wieków. Nie wiedzieć z jakiego powodu rozbiegły się na wszystkie strony i zaczęły miotać wyzwiska, podrzucać sukienki, wypinać porcięta mocno potargane. Dziewczyna chwyciła garść piasku, sypnęła chłopakowi w ślepia i z wrzaskiem pognała: mamo — mamo — Jasiura bije mnie.

Z sieni wyskoczył krzyk — moje dziecko bić? Pilnuj swojego bachora, cholero!

— Zawrzyj pysk — w odpowiedzi wylatywało — nie godnaś mojej matki przez papierek pocałować, żebyś jej nie powalała.

Uśmiechałem się do strzępów bogobojnych sporów chrześcijańskich owieczek. Nic się nie zmieniło w ciągu długich lat od mego dzieciństwa. Wszędzie to samo. Pokolenia umierają, a w powietrzu zostają te same głosy i wyobrażenia pewnych spraw i ludzi.

Czasem znów wrzask z dziedzińca o kurę, która chyba pół staja wydziobała, o krowę, co trawę wyjadła chyba z całej łąki.

Poza ostatnimi domami równina pogrążona w złotej martwocie. Pochylone kłosy czekają na żeńców.

— Spóźnione żniwa — mówię.

— Nie mogą się ludzie doczekać nowego chleba. Bo tyż psotny czas, chyba Pon Jezus karę spuszcza na ludzi za grzychy. Ledwo słonko wyjrzy, już się chowa, takie zgniwane na ludzi. Dawniej, to o tym czasie śmiało się do wszystkich — jidzcie chlib, boście się dość namordowali. O, tam ktoś kosi — wskazał biczyskiem kosiarza, jakby pszczołę szamotającą się w plastrze miodu i strzelającą srebrnym błyskiem. — Już blisko Zielna. Łońskiego roku to już jednego kłoska nie było w polu, a teraz to jeszcze nic nie zabrane. A ludziom spieszno do żniw.

— Ciężko dzisiaj?

— Trudno wyżyć.

— Brak chleba?

— E, to nie najważniejsze. Są ludzie, co im teraz dużo lepiej jak dawniej. Mają co zjeść, w co się ubrać i pieniądzy przyszparują dość. Ale co innego. Żyć się nie chce, tyle człowieka utrapia i umęcza. Przetrącają szczękę i powiadają: zaprowadzomy nowy, sprawiedliwy porządek. Niech drą skórę za skórą z polskiego narodu, to może zostawią dobrą, co będzie służyła Polsce należycie, bo na narodzie było dość złych skór, że nieraz aż było wstyd. Rządy niemieckie wszyscy muszą sobie zapamiętać na zawsze. Na każdym kroku utrapienie. O, na ten przykład dzisiaj jadę do miasta, o, nawet stąd niedaleko było, wyłazi z krzaków, podnosi rękę, halt — taki w granatowym ubraniu, mówią polski policjant, bo dawniej żarł polski chleb, prał chłopa po pysku i krzyczał: ja tutaj jestem prawo, porządek i sprawiedliwość, ja jestem Polska, sanacyjna. — Niech mu tam. Co wieziesz? — na mnie ostro. — Nic! — krótko mu odpowiadom, bo nie będą z nim kumotrował i pod rękę się wodził, jak po weselach czy na procesjach. Przepatrzył wszystko w półkoszkach i koło mnie. Żeby mógł, toby człowiekowi do zadka zajrzoł i koniowi pod ogon, czy czego na sprzedaj nie wiezie. Zły był, że nie może zabrać masła czy czego do jedzenia, i do mnie: gdzie Kennkarta?

— Nie mom, bo jeszcze w gminie nie wydają. — Masz mieć. — Jak mam mieć, kiedy nie wydają — mówię grzecznie, bez gniwu. Już z całej gminy zebrali fotografie, spisali wszystkich, ale jeszcze od Kreishauptmanna nie przyszło. — On na to zamierzył się i do mnie: — cicho, świnio polsko. — O Jezus Maryjo. Nie wiem, co mnie trzymało, żem go wtedy w pysk nie wyrznął. Wszystko we mnie zadygotało. Zaciskołem zęby, alem się pohamowoł, inom popatrzoł — ty marnoto, jakbym cię zdzielił roz, tobyś się nakrył nogami i trzebaby kości po tobie zbirać.

— Lepiej zmilczeć, bo nic nie pomożecie, a moglibyście nieszczęście na siebie sprowadzić — uspokajałem go.

— Co zmilczeć — cisnął się dotknięty.— Honor polski mom. A póki człowiek ma siły, to trza go bronić.

— Uderzylibyście go, a potem co? Wy zgnilibyście w obozie, rodzina zmarniałaby w bidzie.

— Co mi tam? — o tem człowiek w takich razach nie myśli. Teroz wciąż do siebie nie mogę przyjść. Byłem w mieście, wracom, a wciąż mi z głowy nie chce wyliźć, żeby taki dziod człowieka pohańbił, żeby tak Polok Poloka. E, jaki on ta Polak... Żeby to nie było w dzień, żeby to nie było przy ludziach, tobym mu pokozoł, ej, Boże, toby on widzioł. Zapamiętom go sobie, żeby nawet na Józefata dolinie, to mu za tę świnię zapłacę, stokrotnie, żeby go nawet wszystkie chóry anielskie broniły, to mu zęby wytłukę. Ej Boże, Boże, wicie co myślę? Że jakby nasze wojsko przyszło, tobym po rękach całował. Jużbym nigdy, do końca życia nie powiedzioł na Polskę marnego słowa, inobym dla niej darł z siebie ciało i toczyłbym z żył krew.

— Toście dawniej mówili?

— A mówiłem — nie zapierom się. Bo było czemu, oj było, bo takie w Polsce rządziły, co dzisiaj na człowieka wołają: świnio polska. — Wojowali z narodem, wydziwiali z nim i co sobie oni myśleli? Przecie nie można odcinać ręki, co ma kraju bronić. Oni odcinali. Wybijali zęby i wołali: kochoj ojczyznę i płać podatki. — I ten granatowiec tak samo. Chlib żarł, co mu chłop podawał, a teraz do niego: świnio polska. — Nie do pojęcia — woźnica głęboko poruszony wciąż mruczał, kręcił głową, wywijał batem. — Wio! wio! maluśki. Bydle tem się różni od człowieka, że nigdy nie napaskudzi do swego żłobu.

Gdzieś na grzbiecie zagonu wyrósł rząd mendli. Jeszcze przez ścierniska nie popłynął wóz, pękaty snopami, ku stodołom, stojącym z zawartymi wrótkami. Na całej przestrzeni kroczył jeden pochylony kosiarz, ciął z rozmachem żyto i kładł pokosy w dojrzałym szeleście. Co chwila wybłyskiwała kosa i gasła w gęstwinie źdźbeł. Opodal ręka wyłaniała się z gęstwiny i ginęła jakby trzepotający ptak zrywał się i uwiązany opadał w topiel szeleszczącą.

— O, patrzcie — kłosy rwie jakaś bidota — woźnica przerwał milczenie. — Nie z mojego, to nie żal.

— Jakby z waszego, tobyście nie dali?

— A no jakżebyście myśleli? Kijembym przegnoł. Gdzież to dawać ze swojego. Dość się człowiek umorduje, uznoi, zanim tę garsteczkę ziarna zbierze. Pan Jezus mówi w pocirzu: nie kradnij, bo inaczyj czekają cię czeluści piekielne i wieczyste potępienie. Żeby go nie kusiło i do piekła nie wiodło, to nie grzych takiemu ręce, nogi połamać...

— ...przy pomocy bożej — dodałem.

— Łatwo wom mówić, bo ni mocie swojego. Chłop spojrzał ukosem. — Jakbyście mieli, toby wom tyz, o, takie pazury wyrosły i nie popuścilibyście niczego. Kazanie najłatwiej na ambonie głosić, sprawiedliwość rozdzielać i z cudzego bochenka kromki ludziom dawać. Żebyście widzieli, ile się narobiło złodziejstwa a próżniactwa. Chodzą, kradną i na ciebie wyklinają, a do roboty nagnać nie można. Gospodarz ile się musi narobić, zanim zji łyżkę strawy. W mieście myślą, że bochenki same i to nasmarowane masłem rosną na polach. Jakby widzieli, jak wsiowski naród mieszka, żyje, ile się musi namordować, toby go szanowali.

Na podwalu dwoje dzieci wyłuskiwało ziarno i dłonią sypało do ust.

— Z głodu. Już nie mogą się doczekać chleba. Tego roku trochę lżej. Żebyście wiedzieli, co się robiło łońskiego roku, tobyście nie uwierzyli. Myślało się, że duzo bidnego narodu wymrze. Co gdzie się pokazała pokrzywa, lebioda, to zaraz rwali.

Z pośród potężnych drzew zabielały ściany dworu pańskiego.

— To tutaj spichlerz zabytkowy?

— Z modrzewia. Stary.

— Możebyście stanęli. Skoczę, zobaczę.

— Hihihi. Już go nikt nie zobaczy. To był jakisić ważny budynek, bo rząd polski co roku płacił z podatków duże pieniądze, żeby tego nie tykać, a narodowi pokazać, jakie to piękności z dawnych wieków u nas są. Jaśnie pani dziedziczka, póki brała setki czy tysiace, to było dobrze, ale w tę wojnę kazała rozebrać i ludziom drzewo sprzedała na opał. I tak ze wszystkim. Co dostaną, to marnują. Jakby pracą zdobyli, toby umieli uszanować i nie wypuściliby ani jednej okruszynki. Tutaj każda bryłka ziemi przeklęta.

— Czegóż to?

— Jest za co, jest. W tem miejscu, na ten przykłod, jeszcze w jesieni ludzie mieszkali, teroz nie zostało nawet śladu. Kozali rozebrać zabudowania, zienię zaorali i teroz rosną buroki. Co tu było przekleństw, obrazy boskiej i płaczu, kiedy wyganiali, to tego nikt nie wypowie. Przed wojną nazganiało się bidoty z okolicy, każdy kupił po morgu, po dwa, a dzisiaj poszli stąd z torbami. Nie wiem, kogo za to winować, czy ludzi, czy dziedzica. Różnie mówią. Chłopi nie chcieli płacić rat za rolę, bo czekali aż ruski przyjdzie i sprawiedliwość zaprowadzi. Jak mieli płacić, kiedy było tyle długu na majątku. Ruski nie przyszedł, a ich wygnali. Pan baron widziało się pobożny, Boga się bojący, a to marnotrawnik, huncwot i gałgon. Dużo o tem byłoby gwary, ale po co gębę paskudzić. Dość człowiek i bez tego grzyszy. Prrr — prrr, maluśki. Tośmy już są.

Dokończenie ze str. 1-ej

samych metod, ożywić naszych cech narodowych?

Wprowadzenie nowej kultury w życie osiągnąć się da jedynie przy respektowaniu praw naturalnych życia. Nie wystarczy tylko sprawę obmyśleć i zapropagować. Rzeczom wprowadzanym trzeba nadać walor rzeczywisty, ważność rzeczy cenionej, a nawet nagradzanej. Żeby wskaźniki nowej kultury mogły się stać rzeczywistością i zwyczajem, wprzód muszą być modą. Staną się zaś nią, gdy ludzie, stojący na świeczniku społecznym, żyć będą wedle nich. Przykład musi iść od góry. Mali chlubią się podobieństwem do osób przodujących oficjalnie w życiu, starają się ich naśladować przynajmniej w pozorach i formach, jeżeli nie stać ich na czyny. W ten sposób nowy nurt życia chociaż pięcie, staje się ogólny, powszechny, staje się modą. Rzeczą czasu jest pogłębienie powszechnie osiągniętych rezultatów, które następuje nawet mechanicznie, o ile nie słabnie dynamika nowego życia u góry.

Moda, poparta rzetelną treścią zgodnego z nią, nowego życia — to główny środek upowszechnienia kultury, środek jednakże wtedy tylko skuteczny, gdy oparty jest na prawdzie i jest istotnym celem, a nie tylko maskującym sposobikiem, czego przykładem los sanacyjnego hasła „surowego życia".

BOGDAN KAMODZIŃSKI

LÓD MELODYJNY

Siwe, srebrzyste liście na białej powiały jesieni —
Rozbiegły się z pluskiem, z kwileniem krążących smutnie mew
I było jeszcze jaśniej, aż cały staw się zmienił,
Aż stał się staw o zmroku błękitnym, białym szkłem.

Nad szkło pobiegły ptaki, roślinne melodie dzwonem
Wiały tym zmrokiem — kwiliły ostatnie ptaki — mewy,
Zamknięte łożysko wody jaśniało błękitnym tonem,
Gdy gwiazdy zabłysły niebieskie, zawisłe w ogrodzie na drzewach.

I całym potokiem zmroku i całą nocą niebieską
Chłód szedł w podniebiach wybity, wybłysły lodowy chłód —
Bardzo wysokie niebo zawiało drzewa pieśnią —
Jaśniało, zimne, daleko i lśnił melodyjny lód.

ALEKSANDER WIELHORSKI

Polska muzyka a społeczeństwo

Przedwojenna Polska tworzyła niejako oazę niemuzykalności wśród narodów środkowej Europy. Co na to wpływało? Zupełne zobojętnienie społeczeństwa na przejawy sztuki muzycznej. Tak zwana „elita“ społeczna, mająca pretensje do znawstwa sztuki — najmniej popierała ruch muzyczny w kraju. Nie spotykało się jej na koncertach w Filharmonii Warszawskiej (jedynej stałej instytucji muzyki symfonicznej, ani na wieczorach poświęconych muzyce rodzimej, ani na koncertach kameralnych lub na występach chóralnych. Sale nasze świeciły stale pustkami. Zamożnej sferze naszego społeczeństwa wystarczało pójść na wesołą operetkę lub na rewię, słuchać lekkiej muzyki na patefonie lub w głośniku radiowym. A co się działo w salonach naszej „elity“? Jeśli znajdował się fortepian, to był traktowany przeważnie jako mebel, zdobiący pokój reprezentacyjny, a jeśli tam zabłąkały się jakieś nuty — to najmodniejsze „szlagiery“. Trudno było zobaczyć w tych salonach bodaj jeden poważny utwór polski. A dzieci zamożnych rodziców, nie czujących potrzeby kultywowania muzyki poważnej — czy mogły mieć zamiłowanie do pracy muzycznej? Dla „politury“ towarzyskiej uczyły się panny „pod kierunkiem“ przygodnej nauczycielki (bo taniej!) kilku „kawałków“ salonowych (w rodzaju „Modlitwy dziewicy“) i na tym się kończyła cała edukacja muzyczna.

W szkołach średnich i powszechnych nauka śpiewu nie była obowiązkowa; dzieci wsi nie potrafiły czysto zanucić prostej piosenki ludowej. Przykrą była uwaga jednego cudzoziemca, wychodzącego z kościoła wiejskiego: „Jak proboszcz i organista mogą dopuścić do tak fałszywego śpiewania?“. A więc ani „u góry“ ani „na dołach“ społeczeństwa nie było właściwego podejścia do szerzenia kultury muzycznej, do kultywowania muzyki dobrej! A co widywaliśmy w oknach naszych firm wydawniczych? Stosy modnych tańców „egzotycznych“ w rodzaju „Pelikana“ i t. p. Zamiast drukować wartościowe utwory polskie i popierać twórczość rodzimą — wydawano w tysiącach egzemplarzy te zagraniczne „tandety muzyczne“, deprawujące smak artystyczny społeczeństwa, mając na myśli jedynie stronę dochodową wydawnictwa. To też setki wartościowych rękopisów leżało w tekach kompozytorów polskich, gdy równocześnie półki księgarskie zawalone były „śmieciami“ muzycznymi. A jaki impuls do pracy twórczej mógł mieć kompozytor polski, zamieszkały w kraju, jeśli jego utworów nie chciano ani drukować, ani słuchać? Stąd wynikało to nienormalne zjawisko, że czołowi kompozytorowie polscy musieli wydawać swe utwory za granicą (Paderewski, Szymanowski, Różycki, Rogowski i inni). Państwo 30-tomilionowe nie posiadało ani jednej opery, stojącej na wysokim poziomie, jedyna świątynia muzyki symfonicznej — Filharmonia Warszawska — musiała się dzielić salą... z kinematografem. W odrodzonej Polsce taki opłakany stan muzyki rodzimej nie może mieć miejsca! Ministerstwo Kultury i Sztuki wzięło się energicznie do zorganizowania Państw. Wydawnictwa Muzycznego w Krakowie, do celowej reorganizacji całego szkolnictwa muzycznego, zakładając nowy typ „szkoły umuzykalnienia“ dający możność każdemu, bez względu na wiek, kształcenia się muzycznego. Równocześnie organizuje się stale audycje muzyczne dla szkół wszelkiego rodzaju (z prelekcjami wyjaśniającymi), co wpłynie w znacznej mierze na umuzykalnienie drogiej nam młodzieży.

Wreszcie nowootworzone szkoły organistów dadzą nowego, pełnowartościowego pracownika szerzącego kulturę muzyczną po wsiach i miasteczkach. Centralne Biuro Koncertowe przy Zw. Zaw. Muzyków tworzy ekipy artystyczne, które będą docierać z muzyką wartościową do wszystkich zakątków Rzeczypospolitej. W tej pięknej działalności mamy stale jeden czynnik nie do przezwyciężenia — brak środka lokomocji (samochodów), bo nie wszędzie pociąg dociera. Mamy nadzieję, że Min. Kultury i Sztuki dopomoże nam w tej tak ważnej sprawie.

Zanim dorobek kulturalny nie zostanie objęty przez wszystkie warstwy społeczne, dopóty nam artystom spocząć nie wolno. Trzeba stopniowo udostępniać młodzieży częste wsłuchiwanie się w wartościowe utwory (na razie łatwiejsze i o prostej budowie), aby doprowadzić stopniowo do tego, że będą lubić utwory współczesne, bardziej skomplikowane.

W dzisiejszej Polsce lud nasz nie będzie jedynie siłą militarną i podatkową — natomiast musi być i współtwórcą i spożywcą tych wartości artystycznych, z których dawniej korzystała tylko szczupła garstka wybrańców. Ileż z tego powodu zmarnowaliśmy szczerych talentów wśród tych licznych „maluczkich“, którym nie dano było przekroczyć progów świątyni sztuki. Te prawdziwe „kwiaty“ wiejskie więdły w zarodku! Trzeba (jak pisał Z. Dębicki) „tak zbudować nowoczesną dynamomaszynę kultury i sztuki polskiej, aby wytwarzała dostateczną ilość prądu do naelektryzowania najszerszych warstw społeczeństwa“. Otóż apel do współczesnych kompozytorów powinien brzmieć: piszcie utwory wartościowe i piękne, ale ubierajcie to piękno w szaty dostępne dla szerokich mas, nie posiadających jeszcze przygotowania muzycznego, a napewno zdobędziecie szczerą wdzięczność w ich sercach!

HELENA PLATTA

ŚMIERĆ PARTYZANTA

Gdy dzień spadł na czoło
drapieżnym krzykiem syren,
zszarpnięta chusta nocy
powiała na odlocie
i koła gwiazd powoli na północ się stoczyły,
po rozciętym zaś niebie
świt krwią bladą ociekł.

Na ustach pieczęć twarda
milczenia w grozie bólu,
gdy w oczach łzy nie rosną,
a myśl nie włada dłonią,
kwiat rozdeptany w biegu
bezsilne płatki stulił
jak wtedy, gdy za wcześnie
wystrzelił spoza śniegów.

A krew nowego świtu
z rozciętych nieba opon
kapała purpurowo
na bezwolne ręce,
z drzew drżące kule rosy
wiatr zwiewał kolorowo,
w oczach sztandary czarne
i nic nie było więcej
tylko słowo: wolność —
rosło olbrzymiało
nad gasnącą myślą
i nad stygnącym ciałem —

Szły dzwony, złote dzwony,
sercem kołysały
długie orszaki tonów
w melodiach rytmem białych,
spiżowe gongi
rozpalonych tarcz bohaterów,
gdy za słowo: OJCZYZNA
musiały dobrze umierać.

Aż oddech rannego świtu
z rozciętych nieba opon
wypływał ledwie tchnieniem
na bezwolne ręce.
W oczach sztandary czarne
rosły, olbrzymiały —
cisza dzwoniła w uszach
i nic nie było więcej.

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Zwycięstwo Fredry

Zamierzenia repertuarowe opublikowane przez niektóre nasze teatry zwiastują zdaje się bliski koniec długiego okresu licytacji in minus, bo oto Teatr Miejski w Lublinie istotnie zapoczątkował sezon zimowy „Zemstą“, wystawioną z wielkim nakładem kosztów i pomysłów.

Odświętne podniecenie, jakie panowało w dzień premiery na przepełnionej widowni, rehabilituje najzupełniej publiczność dzisiejszą, którą uporczywie pomawiano o predylekcję do „Naszej żoneczki“. Niejeden widz miał w żywej pamięci różne mniej lub więcej udane spektakle fredrowskie i, choćby przestał już patrzeć na teatr powojenny jak na drzewko rosnące pod dłonią fakira, oczekiwał jednak z dużą dozą woluntaryzmu, że będzie „lepiej“. To też znaczna część aktu pierwszego zeszła widzowi na rozterce duchowej, dopóki stary Fredro znowu go sobie nie skaptował swym pogodnym wesołym humorem.

Wiem, że przedwczesna walka ze zwycięskimi szablonami mody jest beznadziejną donkiszoterią, lecz przyszła już chyba pora na wypowiedzenie wojny pokutującemu od czasów secesji słowu „stylizacja“, którym się chętnie nawzajem mistyfikujemy. Ileż to razy zasłaniało się tym uprzykrzonym sztampem ucieczkę od problemu właściwego stylu lub nobilitowano martwy konwencjonalizm, wynaturzenie i kłamstwo teatralne!

W teatrze lubelskim fragmentaryczny styl, zdawkowa stylizacja i bezpośredni realizm współistnieją w dziwnej symbiozie, która nie wyszła na korzyść nowej inscenizacji „Zemsty“. Dobrze pomyślane, — wykonane prawdziwie artystycznym sposobem malowania na płótnie — ubiory Rejenta Dyndalskiego i hajduków kłócą się ze stylizowanymi na różną modłę kostiumami Podstoliny i Cześnika, a pretensjonalne esyfloresy, panoszące się ekscentrycznymi wykrętasami na rażącej oko czerni tła komnaty, są zagadkowym nieporozumieniem nie tylko wobec prymitywnego naturalizmu dekoracji z murkiem, lecz i w stosunku do przeważającego tonu gry. Czyż trzeba powtarzać jeszcze elementarną prawdę, że kardynalną zasadę stylu stanowi jednolitość, że eklektyzm jest jego negacją?

Rozkolportowany w swoim czasie szeroko i zapisany dla potomności żart Rimskiego-Korsakowa, który, będąc sam świetnym dyrygentem, miał powiedzieć, iż dyrygentura to sprawa niewyraźna, może być zastosowany do reżyserii o tyle, że kiedy mamy do czynienia z realizacją nowego utworu dramatycznego, nie zawsze łatwo oszacować należycie wkład twórczy reżysera. Lecz arcydzieła literatury klasycznej, ułatwiając znakomicie orientację widzowi posiadającemu jakie takie kryteria, pozwalają mu skierować wszystkie zastrzeżenia niepodzielnie pod adresem reżyserii.

Teatr Miejski w Lublinie, który może się poszczycić obecnie jednym z najlepszych zespołów polskich, jest zbyt ważną placówką artystyczną, aby wolno było zatajać ze względów grzecznościowych pewne refleksje nasuwane omawianą inscenizacją „Zemsty“.

Otóż hasło „inaczej“ — jeden z głównych motorów postępu w sztuce — przyświecające każdemu ambitnemu reżyserowi, musi mieć niewątpliwie, dla dobra sprawy, potężny równoważnik w poczuciu miary i dogłębnym przemyśleniu wewnętrznych nakazów zawartych w utworze, zwłaszcza gdy chodzi o dzieło klasyczne. Słusznie ktoś porównał utwór sceniczny do ziarna, w którym są ukryte twórcze życiodajne moce decydujące o rozwoju rośliny. Jak z ziarna sosny nie wyhoduje się kaktusa, tak nie można zrobić groteski z komedii obyczajowej, nie wypaczając natury utworu. Skoro nikt nie wymaga podejścia do Fredry poprzez Kautzkyego, próbę nadania Cześnikowi i jego otoczeniu groteskowych cech dorobkiewiczowskich należy uznać bezwzględnie za nieuzasadnioną. Gatunek widza bawiącego się groteską był już przed wojną na wymarciu. Od teatru będzie zależało przyśpieszenie tego dodatniego procesu, wstrzymanego wkroczeniem na widownię widza nowego o niewyrobionym smaku.

Groteska jest zaprzeczeniem wierności historycznej, prawdy życiowej i artystycznej, podczas gdy postacie Fredry to są typy z życia wzięte, ludzie żywi. Nic też dziwnego, że już na piątym czy szóstym przedstawieniu „Zemsty“ było inaczej niż na premierze i jakby wbrew pierwotnym zamierzeniom. Fredro strząsnął ze siebie bohaterskim ruchem ramion niefortunną „stylizację“. Pozostała siłą rzeczy tylko w statycznym elemencie widowiska, jakim są kostiumy i dekoracje, których usterki nie przeszkadzały już zresztą widzowi, porwanemu staropolską tężyzną komedii, jej sarmackością (niech mi darują prehistorycy to słowo!), plastyką, charakterystyki osób, obfitością komizmu, bogactwem języka, rytmem przepysznego wiersza!

Fredro zwyciężył.

Do triumfu tego przyczynili się gremialnie wszyscy artyści, bo kierowani zdrowym instynktem i doświadczeniem, zestroili znakomicie swoją grę, odnajdując zatracający się styl fredrowski.

Chmielewski — Cześnik, nie tyle wybuchowy, ile wielkoduszny i bezpośredni (nieco za słabo jednak reagujący na wiadomość o zdradzie Podstoliny), z dostojnością poruszał się w zacieśnionej rewiowo przestrzeni scenicznej, nieproporcjonalnej do jego tuszy, Rejent — Klejer (wyborna maska) wyzbył się konwencjonalnego demonizmu, tworząc żywą postać swojskiego zaciętego obłudnika, „tęgiej głowy“. Kondrat, idący na premierze po linii tradycyjnego wyodrębniania Papkina z grona osób komedii, jako tworu obarczonego specjalną misją błazeńską, zmaterializował się w następnych przedstawieniach w osobie żywego wyjadacza dawnych czasów Krzyżanowskiego, pieczeniarza i łgarza - wirtuoza, którego skoncentrowany komizm nie jest dopingowany od zewnątrz i nie predestynuje go w oczach Cześnika do zabawy. Niemniej pomysł monologów na proscenium, przerzucający most między epokami, można uważać za udany.

Od początku wycyzelowana była przez Macherską postać Podstoliny, obytej zalotnicy, tkwiącej zarazem wyraźnie w rodzimym środowisku — uroczej w swej śliczności sukni... medycejskiej! Dyndalski Chmielarczyka był i jest doskonały we wszystkich szczegółach, Śliwa zaś, także już na wstępie, ożywił postać Wacława, nadając jej cechy mądrej rozwagi i szlachetnej pobłażliwości człowieka, który powrócił z szerokiego świata. Natomiast Alina Żeliska, bardzo dobra w nowoczesnych „Artystach“, wyłamuje się niestety z ogólnego staropolskiego tonu gry.

Potoczysty i jędrny ośmiozgłoskowiec fredrowski płynął ze sceny swobodnie i wyraźnie.

Takie otó są wyniki pracy aktora nad „Zemstą“. A przed wojną pisał z goryczą Lorentowicz, że artyści niechętnie podejmują się ról w sztukach fredrowskich!

W warunkach rozgromu, w jakich pozostawił teatry polskie niemiecki okupant, powodzenie „Zemsty“ w Lublinie nie jest już tylko regionalnym świętem artystycznym, zatacza ono znacznie szersze kręgi. Zwycięstwo Fredry, który zdobył publiczność i artystów, pozwala stawiać jak najpomyślniejsze horoskopy dla przyszłości repertuaru klasycznego.

„ZDRÓJ“ W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN B. PRUSA

Następny (7) numer „Zdroju“ będzie poświęcony życiu i twórczości Bolesława Prusa. Treść numeru wypełnią następujący autorzy:

Prof. Juliusz Kleiner
Dr Feliks Araszkiewicz
Dr Stefan Kawyn
Dr Zofia Klingerowa
Dr Stefan Kunowski
Prof. Zygmunt Szweykowski i inni.

CZESŁAW JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

DON KICHOT

Wiecie, jak jest długa Mleczna Droga?
Taka długa, że na Rosynancie kościstym
Don Kichot jechał nią do Boga
trzysta lat, trzysta miesięcy i dni trzysta.
Podkowy starły się dawno.
Smutno patrzał rycerz waleczny,
jak kopyta raniły się krwawo
o niklowe żwiry Drogi Mlecznej.
— „Komu ty jedziesz?" — pytały złote słońca;
— „Komu jedziesz?" wtórzyły gwiazdy srebrne.
— Temu jadę, Który nie zna końca;
Jemu jadąc, otchłanie przebrnę.
Aż otwarła mu się kiedyś Brama,
której ludzki mój język nie wysłowi.
I Madonna uśmiechnęła się sama
niezłomnemu zaiste rycerzowi.
A ten anioł, który stał we wrotach,
trzymający pieczęć i rejestr,
przystąpiwszy do Don Kichota
pytał: kto zacz? skąd? i czy wie, gdzie jest?
Więc go badał: Godność Waszmości?
On zaś: — Godność moja jest taka:
żem odrazę miał do wszelkiej podłości,
jak do gadzin śliskich czy robaka.
Więc go dalej pytał, czy possessionatus?
On różami wionął białemi i kraśnemi:
— Dla Madonny mam tę wiązankę kwiatów,
a na ziemi — ani piędzi ziemi.
— „Jakież imię — pytał anioł cicho —
Temu podam, Który mię przysłał?"
— Nazywali mię ludzie: Don Kichot,
a prawdziwe me imię: Stanisław.

1941.

WIKTOR ZIÓŁKOWSKI

O propagandę polskiej sztuki ludowej

Znane są powszechnie zdolności artystyczne naszego ludu. Jego utwory w dziedzinie plastyki posiadają wartości niezmiernie oryginalne. Wykazały to zarówno, urządzane przed wojną w kraju i za granicą, pokazy polskiej sztuki ludowej, jak i działy tej sztuki w niektórych naszych muzeach. Pierwszorzędnym przeglądem samorodnych talentów była wielka wystawa polskiej sztuki ludowej, urządzona przez Instytut Propagandy Sztuki w Warszawie w r. 1937 w doskonałym opracowaniu dra Józefa Grabowskiego.

Nie trudno było przekonać się, iż lud nasz ujawnił szczególne zdolności zarówno w rzeźbie, jak w malarstwie i grafice. Kilkaset drzeworytów ludowych, jakie zgromadzono i wykorzystano dla nauki w muzeach; dziesiątki figur przydrożnych rozsianych przed wojną po całej nieomal ziemi polskiej; a wreszcie szeregi obrazów, przeważnie treści religijnej, częściowo zdobiące zbiory, częściowo wnętrza chałup w terenie — to wszystko wymowne przykłady oryginalnej formy plastycznej, w której duch polski mógł się wypowiedzieć, jak lapidarnie określił poeta-plastyk, Cyprian Norwid.

Wysoko cenione są utwory garncarzy polskich, malowidła na szkła odwrocie (np. ciekawa grupa malowideł lubelskich), drzeworyty ludowe, rzeźby w drzewie, dekorujące powszechnie wiejskie kościółki, krzyże i kapliczki przydrożne, a dalej wycinanki, jak m. in. lubelskie — Ignacego Dobrzyńskiego, rozpowszechnione w licznych reprodukcjach, oraz może najbardziej popularne pisanki, opracowane w zakresie Lubelszczyzny przez prof. J. Świeżego i St. Dąbrowskiego, częstokroć o pierwszorzędnych walorach artystycznych, czy wreszcie hafty, które stały się prawdziwą ozdobą polskiego stroju ludowego.

Znakomitą interpretatorką — jak wiemy — tego właśnie wspaniałego stroju jest genialna polska malarka, Zofia Stryjeńska. Ona też stworzyła dla cudzoziemców interesujący m. in. typ lublinianki, „dansant à la fête locale de la moisson avec un gâteau au fromage dans ses mains". Dzięki tej artystce — obok umiejętnej współpracy dyrektora Muzeum Etnograficznego w Krakowie, dra Tadeusza Seweryna — mogła powstać i ukazać się za granicą tuż przed wojną europejska publikacja, niesłychanie bogato wyposażona graficznie, u nas nieomal zupełnie nieznana, p. t. „Polish Peasants Costumes", zawierająca 40 plansz barwnych Stryjeńskiej i 11 stron tekstu, w formacie folio, pióra dra Seweryna (Nice — 1939).

Autor tekstu, sam artysta - malarz, zwraca szczególną uwagę m. in. na koszulę lublinianki „magnifiquement brodée" i odkrywa przed zdumionymi oczami cudzoziemców cały strój lublinianki u nas zresztą popularny i nieomal jeszcze codziennie używany.

Jeśli chodzi o plastykę ludową na terenie lubelskim, to rozwinęła się tu przede wszystkim rzeźba, a następnie rozpowszechniony był drzeworyt, wycinanka i haft. Znajdują się też do dzisiaj jeszcze bardzo interesujące ośrodki garncarstwa ludowego, np. w Urzędowie, Baranowie i Pawłowie (t. zw. „porcelana lubelska"), w zbiorach zaś spotyka się ślady dawnego kaflarstwa z Kluczkowic, Urzędowa lub Łęczny — niektóre z XVI i XVII w. W Łęcznie też, jeszcze w ciągu całego XIX stulecia a nawet w początkach wieku bieżącego, rozwijała się szczególnie rzeźba ludowa w drzewie. I tu był zapewne, również w XIX w., jeden z ośrodków polskiego drzeworytu ludowego.

Zaznajomienie się z polską sztuką ludową z określonego odcinka, np. Lubelszczyzny, nie jest tak łatwe i nie łatwa też jej popularyzacja. Szkoda prawdziwa, że nasza sztuka ludowa nie była dotychczas inwentaryzowana, a starania w tym kierunku nieżyjącego dziś dyrektora Seweryna Udzieli nie dały pozytywnego w swoim czasie rezultatu. Jest to jedno z ważnych zadań, które posiada już obecnie w szerokim programie swych prac Ministerstwo Kultury i Sztuki. Inwentaryzacja, umiejętnie przeprowadzona, dostarczy nie tylko niezbędnego materiału do celów naukowych, ale będzie też ważnym czynnikiem **ułatwiającym popularyzację sztuki ludowej** szczególnie w zakresie nauczania.

Należy żałować, że przed ostatnią wojną najcenniejsze okazy sztuki ludowej, zwłaszcza znajdujące się w terenie, nie były systematycznie i na wielką skalę gromadzone i opracowywane w muzeach regionalnych a następnie — rozpowszechniane w licznych publikacjach. Na skutek działań wojennych sporo zabytków i z tej dziedziny zginęło bezpowrotnie. Tylko znawcy, miłośnicy i wytrwali szperacze mogą mieć jeszcze teraz pewne pojęcie o niektórych istniejących najciekawszych okazach w terenie.

Jest więc dziś rzeczą wprost konieczną zorganizowanie całego szeregu wystaw sztuki ludowej w tych miastach Polski, gdzie na to warunki powojenne pozwalają. Przede wszystkim jest niezmiernie aktualna wystawa sztuki ludowej w Lublinie, gdzie nigdy nie było specjalnego pokazu w tym rodzaju, zorganizowanego w szerszym zakresie. Wystawa taka spełniłaby rolę propagandową, kulturalno - oświatową, zasiliłaby tak bardzo potrzebnymi obiektami ubogie pod tym względem zbiory miejscowe a następnie — dostarczyłaby pożądanego materiału z odcinka Lubelszczyzny do inwentaryzacji polskiej sztuki ludowej i jej naukowego opracowania.

Taką wystawę i odpowiednie przygotowanie do jej solidnego zorganizowania musi w przyszłości postawić na czele swych prac Muzeum Lubelskie, którego działalność w kierunku akcji wystawowej nie może się na razie rozwinąć. Pomimo usilnych starań dyrekcji, istniejące i jedyne do tego celu pomieszczenia, przeznaczone przed wojną wyłącznie na stałe wystawy muzealne, zbyt długo są zajęte przez inną instytucję, posiadającą do urządzenia odpowiednie poza tym lokale.

STEFAN PLEWIŃSKI

Ziarna na ugorach

(z okazji 60-ciolecia istnienia Lubelskiego Tow. Muzycznego)

Były to czasy, kiedy nad życiem społeczeństwa polskiego w Lublinie i w całym kraju ciążyła ręka władz carskich, kiedy nie wolno było urządzać żadnych zebrań nie tylko publicznych, ale i prywatnych, przewyższających kilka osób. W prywatnym mieszkaniu adwokata Marcelego Boguckiego zbierała się jednak grupa osób różnego wieku, przeważnie ze sfer robotniczych, i o ile możności cicho, konspiracyjnie oddawała się z zamiłowaniem muzyce i śpiewom.

Duszą tych niewinnych, a jednak prześladowanych poczynań był adwokat Modrzewski i doktór St. Dobrucki. Wieczorynki te zaczęły być coraz liczniej nawiedzane, dawały bowiem chwile swobodnego oddechu ludziom spędzającym całe dnie w ciężkiej fizycznej i umysłowej pracy. Trwały jednak krótko. Gospodarz tych zebrań adw. Bogucki był jednocześnie korespondentem pism krakowskich, które w Lublinie jak również w całej Kongresówce debitu nie miały, były zakazane. Adw. Bogucki został pewnego dnia 1890 r. „nakryty", aresztowany i wywieziony.

Wieczorki muzyczne, rozpoczęte w 1886 roku, zostały przerwane na przeciąg lat blisko ośmiu, ale nasionka zamiłowania muzycznego rzucone w dusze szerszego już ogółu nie zamarły. Domagały się życia, rozwoju. Panowie Modrzewski i Dobrucki starali się zadość czynić tym pragnieniom i wtedy nasunęła się myśl założenia TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO w LUBLINIE, wszelkie jednak starania o uzyskanie pozwolenia na zorganizowanie Towarzystwa były przez władze rosyjskie odrzucane. I zdarzyło się, że dr Dobrucki zapoznał się z racji swojego zawodu z pewnym generałem wojsk rosyjskich z pochodzenia Gruzinem, zamiłowanym muzykiem. Porozumienie jako między muzykalnymi ludźmi przyszło prędko. Generał przystąpił do Modrzewskiego i Dobruckiego jako trzeci założyciel. Napisali statut i złożyli podanie o założenie Lubelskiego Towarzystwa Muzycznego. Tym razem władze rosyjskie nie odmówiły. Statut został zatwierdzony w 1898 r. i Lubelskie Towarzystwo Muzyczne zaczęło już legalnie publicznie występować, rozszerzając znacznie zakres swej działalności w Lublinie. Zaczęli napływać członkowie, wybrano zarząd z Władysławem Modrzewskim jako prezesem na czele i przystąpiono do organizowania rozmaitych imprez muzycznych i koncertów, zapraszając wybitne siły ze świata muzycznego, jak Michałowski, Śliwiński, Myszuga, Barcewicz i inni. Fundusze trochę się zwiększyły, jednak nie na tyle, żeby można było zaspokajać potrzeby, jak zaangażowanie stałego dyrektora, nabycie instrumentów koniecznych do uzupełnienia amatorskiej orkiestry, wyszukanie stałej siedziby i t. p. Narazie niezbędne wydatki pokrywali założyciele z własnych funduszów, ale to nie mogło trwać długo i należało pomyśleć o innych źródłach dochodu, bardziej obfitych niż kieszenie początkującego adwokata i młodego doktora. Obowiązki dyrektora pełnił narazie p. Wasilewski.

Zaciągnięto pożyczkę w Kasie Przemysłowców na weksle, poręczone przez członków dożywotnich, w wysokości 2.000 rubli i za te pieniądze zakupiono instrumenty muzyczne.

Pan Wasilewski zorganizował orkiestrę, a następnie chóry, które po pewnym czasie wyszkolone przez dyrektora przyjmowały udział w koncertach.

Zarząd Towarzystwa, wierząc niezachwianie w dodatnie znaczenie muzyki i śpiewu pod względem wychowawczym, urządzał w dalszym ciągu zamknięte wieczorki muzyczne dla swych członków i ich najbliższych rodzin, szerząc w ten sposób zamiłowanie do muzyki wśród społeczeństwa lubelskiego. Lokal ma stałą siedzibę, na kancelarię i sale koncertowe wydzierżawił Zarząd Towarzystwa od Resursy Kupieckiej w gmachu Teatru Lubelskiego. Tyle wiadomości o początkach Towarzystwa Muzycznego w Lublinie udzieliła nam łaskawie żona pierwszego prezesa Towarzystwa Pani Władysławowa Modrzewska, za co pozwalamy sobie złożyć na tym miejscu serdeczne podziękowanie.

Dalsze wiadomości o działalności i rozwoju Tow. Muz. w Lublinie znajdujemy w rocznikach Gazety Lubelskiej począwszy od 1898 roku, które w dużym stopniu dopełniają i wyjaśniają fakty podane przez panią Modrzewską.

Pierwszą wzmiankę znajdujemy w numerze 130 z dnia 27.VI.1898 roku następującej treści: „Po otrzymaniu urzędowych wiadomości od jenerał gubernatora warszawskiego o zatwierdzeniu statutu Towarzystwa Muzycznego w Lublinie przez Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 26 lutego 1898 roku, władze miejscowe uznały, że zorganizowaniu Towarzystwa nic nie stoi na przeszkodzie, o czym Pan Policmajster zawiadomił inicjatorów. Z uwagi jednak, że obecnie w czasie feryjnym wiele osób się rozjeżdża i że wogóle pora letnia nie sprzyja tego rodzaju zajęciom, inicjatorowie postanowili rzecz całą odłożyć do jesieni. Wtedy zostanie zwołane Walne Zgromadzenie członków-założycieli i dożywotnich, wybrany zostanie zarząd Towarzystwa i rozpocznie się jego działalność". Dalsze roczniki, ocalałe w pożodze wojennej, zawierają wiele cennego materiału konkretnego.

Ziarna zasiane na ugorach lubelskich pięknie wzeszły. 50-cioletnia działalność Towarzystwa w ramach organizacyjnych świadczy o dobrze rozumianym obowiązku społecznym jego kierownictwa. Bywały lata wzlotów i lata chwilowego uśpienia. Przez kronikę Towarzystwa przewijają się nazwiska najwybitniejszych muzyków polskich, nierzadko i zagranicznych. Los chciał, iż niektóre instrumenty, zakupione pod koniec zeszłego wieku, do dziś służą pracom stale odradzającej się instytucji, a nawet i nuty, choć zdekompletowane, noszą dedykacje Noskowskiego, Elsnera i innych. Obecnie Towarzystwo przystąpiło, obok intensywnych prac koncertowych, również do odtworzenia historii swojej. Przy rozjaśnieniu mroków dalekiej przeszłości cenne będą wszelkie zapiski i wiadomości, o które tu drogą prosi Zarząd Towarzystwa (Lublin, Kapucyńska 7, na ręce Ob. St. Plewińskiego).

JAN DOBRACZYŃSKI

Tragiczny wrzesień

Fragment powieści p. t. „Szata godowa".

Obudziły go strzały armatnie. Uf! — dobra noc, którą można przespać na kanapie, pod kocem, umywszy się poprzedniego wieczora przyzwoicie. Ale gwałtowna kanonada wieściła zbliżające się niebezpieczeństwo. Adam szybko się zerwał na nogi i ubrał. Wyjrzał przez okno: dzień zapowiadał się słoneczny, choć drobne obłoki pływały tu i tam po niebie. Krzyż na wieżyczce kościoła garnizonowego złocił się w słońcu.

Oddział Dudzińskiego zbierał się przy samochodach. Trzeba było korzystać z chwilki wolnego czasu i iść do kościoła. W pamięci Adama wyryła się mocno data dzisiejsza: 17 września, niedziela — bronimy Lublina...

Mimo wczesnej godziny kaplica uniwersytecka była pełna ludzi. Odprawiało się tu jednocześnie kilka Mszy: przy głównym ołtarzu, u stóp Serca Jezusowego, przy prawym bocznym u stóp ogromnego obrazu przedstawiającego tragiczną w kolorycie i nastroju scenę śmierci na krzyżu, przy lewym bocznym u stóp Św. Teresy... Huk wystrzałów armatnich wstrząsnął raz po raz kompleksem gmachów uniwersyteckich, a po każdym wybuchu, gdy jego łoskot cichnął w dali, słychać było przez pewien czas przyśpieszony oddech modlących się kobiet i głośniejszy, niemal dający się zrozumieć szept modlitwy. Tak samo za każdym razem, gdy stuknęły głośniej drzwi do kaplicy, odruchowo odwracały się głowy, a pełen niepokoju wzrok witał wchodzących.

Adam był jednak spokojny. Dla niego kaplica ta zachowała dawną ciszę i uroczny spokój. Nigdzie i nigdy nie umiał się tak dobrze modlić, jak właśnie tutaj! I to nie dlatego, aby piękność miejsca wprowadziła go w specjalny nastrój. Główny ołtarz gubił się na zbyt wielkiej, wygiętej ku stronie zewnętrznej ścianie, natomiast obraz Ukrzyżowania był zbyt duży oraz zbyt nowoczesny. A poza tym, wisząc na ścianie bocznej, odrywał wzrok od właściwego prowadzącego ku Tabernakulum kierunku. Chrystus na krzyżu był tu taki jakiś okropny w swej boleści. Głowa przygięta do ramienia, koloryt twarzy mówiły o męce, nie wspominały o zwycięstwie. Św. Teresa w lewym ołtarzu wydawała się bardziej niż zwykle cukierkowa, a i nawet prześliczna figura Matki Bożej, spoglądająca z małego kwadratowego podwórca w okno kaplicy nie przydawała — zdaje się — wdzięku temu zakątkowi. A przecież Adam był mocno uczuciowo przywiązany do kaplicy. Tu przychodził na wczesną Mszę w upalne niedziele czerwcowe i lipcowe, tu uczęszczał także, brnąc po śniegu, który leżał na polu za uniwersytetem, w ciągu długich miesięcy zimowych. Stąd powracał do swoich dwóch pokoi na Szopena, gdzie zasiadał przy okrągłym stole i w nieskończoności samotnych popołudni i wieczorów czytał, czytał, a także poczynał zwolna oblekać swoje myśli w nieporadną szatę zapisanych zdań. Do kaplicy uniwersyteckiej przynosił swoją tęsknotę i niepokoje, swoje marzenia i pragnienia. Między szarą pracą, codzienną biurową oraz niemniej codzienną ale nierównie barwniejszą, bo spowitą w tęczowy obłok galopujących myśli, wypowiadanych ideałów, zamkniętych w słowa umiłowań, pracą popołudni, a tą niedzielną modlitwą w kaplicy uniwersyteckiej, istniał pomost ścisłego związku. A już nigdy — przedtem ani potem — nie potrafił aż do tego stopnia uczynić pracy modlitwą. Z codziennego wysiłku poczynała się wysuwać nić, która jednak osiągała swój połysk dopiero u stóp zawieszonej wysoko naprzeciw ryngrafu ślubowań jasnogórskich kazalnicy. Tu Adam spowiadał się z każdego słowa, które wypowiedział lub napisał. Tu prosił o radę, gdy nie wiedział, jak ma postąpić. Tu starał się o błogosławieństwo dla postaci, które stwarzał. Tu wreszcie — wżywając się raz jeszcze w niepokojące go myśl, odkrywał ich sens ukryty i temu sensowi się poddawał. Jak wówczas, gdy przyjął na barki ciężar pisania. Jak wówczas, gdy rzucił u stóp Bożego ołtarza prośbę najuchwalszą...

Przelatujący nad uniwersytetem granat zachichotał upiornie. Potem słychać było eksplozję. Nad tłumem modlących się kobiet przeleciał szmer grozy.

Adam doczekał ostatniej Ewangelii i skierował się ku wyjściu. Zanim jednak opuścił kaplicę, wyszeptał pełne tajemniczego namaszczenia słowa, które od codziennego odmawiania umiał na pamięć: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo..." Przerażający swą głębią początek Ewangelii Janowej sprawiał nań zawsze wrażenie czegoś szczególnie nadludzkiego, nie było w nim nic z prostoty zdarzeń i przypowieści ewangelicznych. Czyż człowiek potrafi zawrzeć — rozważał nieraz Adam — aż tak wiele myśli i prawd w kilku zaledwie jakby opornie skleconych zdaniach? Dzięki temu spostrzeżeniu ten krótki ustęp wydał mu się jakby syntezą czterotomowego dzieła celnika, dwóch rybaków galilejskich i lekarza greckiego: składała się nań nieporadna w wyrazie, nadana przez ludzi, pełna nieliterackich powtarzań i omówień, forma i treść jak promienista błyskawica, zawsze żywa i zawsze wszystko rozjaśniająca, nie znająca powolnej agonii teraźniejszości, obojętna ucieczce dni, lat i wieków, obojętna dniom i nocom, morzom i lądom, skwarom i śniegom, zawsze przemawiająca wprost do serca i do rozumu poruszeniem skrzydeł anielskich bijących spokojnie w wieczystą toń bezczasu.

— Szukałem pana — rzekł Dudziński do wychodzącego z kaplicy Adama.—Musi pan raz jeszcze skoczyć do miasta i za wszelką cenę zdobyć amunicji. Zapowiada się na gorący dzień!...

Adam pojechał przede wszystkim do komendy miasta. Tu zamęt był ogromny. Na podwórzu, na małym, wąskim ciemnym podwórzu lubelskim, zwalono dużo rozmaitej broni i amunicji, jednak nie nadających się do użytku. Leżały np. skrzynki z amunicją francuską pomimo, że karabinów francuskich prawie nie było widać, karabiny angielskie, do których brakło amunicji, pudełka z nabojami pistoletowymi o nieznanych zupełnie kalibrach... Adam pobiegł na górę do biura komendy, domagając się amunicji. Nikt go jednak nie słuchał, ludzie krzyczeli, popychali się, wydzierali sobie jakieś papiery. W końcu Adam zdobył amunicję, ale było jej niewiele. Trzeba było jechać po nią z kolei do D. O. K., do magazynu broni, aż wreszcie Adam znalazł większy jej zapas w kasynie podoficerskim. Rzecz ciekawa — tylko nieliczne osoby wiedziały, że ona się tam znajduje i to w momencie, gdy miasto było oblegane, a tłumy na ulicach błagały o broń i ładunki!

Wracający samochód Adama musiał się zatrzymać na rogu Wieniawskiej. W głębi Alei Racławickiej, gdzieś za kościołem garnizonowym, biły wściekle serie cekaemów. Ustawiona pod Domem Żołnierza artyleria co pewien czas wybuchała gromem wystrzałów. Powietrze w tej wąskiej uliczce, jaką stanowi Krakowskie Przedmieście między placem Litewskim a Lipową, jęczało pełną poświstów skargą przelatujących pocisków i falowało niemal dotykalnie. Przestrzeń rozciągniętych szeroko Alej oraz parku miejskiego przyciągała. Kiedy Adam, zostawiwszy swój samochód przy innych samochodach oddziału, stojących na ulicy pod domem R. K. U., i po oddaniu amunicji w ręce kaprala z rozkazem załadowania jej natychmiast do pasów, pobiegł sam ku przodowi, ogarnął go zewsząd i wchłonął kołowrót rozszalałych wirów powietrznych. Stukot wystrzałów powtarzało echo stu bram i podwórzy. W tym tak znanym i bliskim Adamowi świecie jakże niezrozumiałą wydawała się ta walka. Prędzej by uwierzył w jakiś kataklizm, w jakąś potworną burzę, miotającą huraganem wichrów w twarz wędrowca, niż w to, że w ten prześlicznie słoneczny dzień jesienny na najpiękniejszej z ulic Lublina stanie nagle w obliczu pędzących ku jego piersi pocisków nieprzyjacielskich.

Krzyż kościoła garnizonowego wciąż płonął złotym płomieniem blasku. Znad drzew, które otaczały świątynię, unosiły się czarne kłęby dymu: to pocisk niemiecki zapalił jedną z willi. Gdy Adam dobiegł do zabudowań uniwersyteckich, zobaczył, że takie same kłęby dymu unoszą się zza pasma wzgórz, które widać na tyłach uniwersytetu, a które, skrywając leżącą w dole wieś Konopnicę, dźwigały na swym grzbiecie olbrzymie stogi siana czy słomy. Tam właśnie byli Niemcy.

Poczuł nagle ściśnięcie serca. Do wczorajszego zwycięstwa czuł, że go codzień silniej dławi obraz klęski czy nawet pogromu, jakim została doświadczona Polska. Zbyt ją kochał, nigdy przecież nie łącząc świadomie słowa miłość ze słowem Polska, z obawy, że wyda się sam sobie tanim deklamatorem. Czyżby więc teraz miał nagle uznać za prawdę wszystkie przechwałki jej wrogów? Wpatrzony jak w tęczę w przyszłość przez siebie wykreśloną i przez siebie ustrojoną w purpurę chwały, nieomal z politowaniem patrzył na przewagę materialną wrogów. Wieczność i materia. Cóż za zestawienie! Czyż może coś zagrozić Polsce, której potęga jest odbiciem i wyrazem nigdy nie zwyciężonej Civitatis Dei?

Potem przyszły nań chwile duchowego upadku i zniechęcenia. Otrząsnął się z nich dopiero po zetknięciu się z Dudzińskim, po wczorajszym zaś zwycięstwie nabrał nowej zupełnie otuchy. Odwróciła się widać wreszcie karta dziejów i teraz dłoń Opatrzności rzuci na stół gry swoje, nie dające się przebić atuty. Adam nie zdziwiłby się nawet, gdyby ujrzał własnymi oczami cud. Cudy wyrastają przecież z zespolenia się woli ludzkiej z wolą bożą. U krańca każdego, w dobrej sprawie podjętego wysiłku, oczekiwać można i trzeba cudownej ingerencji bożej. Wierząc w to mocno, Adam ani na chwilę nie przestawał cudu wyglądać, lękając się przy tym nie tego, że zostanie w swych oczekiwaniach zawiedziony, ale że cud dokonać się może w tej przecudnie bezosobowej atmosferze, w której Bóg zechciał zanurzyć wszystkie swoje wciąż dokonywujące się dzieła, i wtedy cała cudowność zniknie, pozostawiając ludziom złudzenie — jakżeż śmieszne, — że zdołali osiągnąć zwycięstwo bez ostatecznego akordu łaski.

Cud mógł się objawić lada chwila. Może obrona Lublina, która niewątpliwie będzie równie bohaterska i uporczywa jak obrona Warszawy, jest pierwszą jego zapowiedzią? Adam ogarnięty wirem tych myśli zapomniał o straszliwym rozgardiaszu i haniebnym nieładzie, jakie widział między Warszawą a Lublinem. Już tego więcej nie będzie! Chwila przemiany jest we drzwiach.

I roześmiany dobiegł do bramy uniwersytetu, na wprost której, w poprzek ulicy, leżał okopany oddział Dudzińskiego.

Major stał na środku obok swego małego samochodziku. Wysokie buty, cywilne spodnie, kurtka kapitana DAK-u, cywilny gabardinowy płaszcz rozpięty, zwykła żołnierska, wysoko stojąca furażerka. Marsowy profil, sarmacki nos i kępa siwych, nastroszonych wąsów. W ręku trzymał swój pejcz. Takim go zapamiętał Adam i takim miał już zostać w jego pamięci na zawsze. Umarli utrwalają się na kliszy naszego mózgu, przeważnie w jednej jedynej postawie. Tak jak babka, którą Adam widział w swych myślach zawsze i jedynie siedzącą na staroświeckiej o wygiętych mahoniowych bocznych ściankach kanapie, obok poduszki naszywanej paciorkami, w swym mieszkaniu na Boduena, i mówiącą do ukochanego wnuka niedzisiejszym, tchnącym miłością nazwaniem „duszka złota", — jak ten „mały" Andrzej Majewski, ubrany w krótkie, zielone spodenki i broniący zapalczywie na korcie w Józefowie wydzieranego mu gema, a potem rozszarpany granatem niemieckim, gdy bronił bohatersko Warszawy. Umarli żyją w nas w jednej postawie, w jednym fragmencie ich zakończonego już życia. Ustaje ich ruch, jak nagle zatrzymany film. Tak trwa przez lata, by wreszcie kiedyś, na końcu upływającego naszego życia mogli się znowu przed nami pojawić, żywi, w nietkniętym uroku swych najpiękniejszych dni, przedzierający się ku nam poprzez mroczną głębię snu, by, dotknąwszy tylko naszych ramion, wzywać nas ku jakiejś, odległej podróży...

— Co będziemy robić? — pytał Adam Jankiewicza, usiłując przekrzyczeć trzask cekaemów.

— Major otrzymał dowództwo obrony. Zaraz rozpoczniemy przeciwnatarcie. Właśnie jedziemy ku pierwszej linii.

Mały „Fiat" pojechał, prowadzony przez Jankiewicza. Siedzieli w nim Dudziński i dwaj oficerowie piechoty. Dowództwo oddziału objął kapitan Wróblewski.

Adam nie miał co robić, więc się nudził. Obejrzał po kolei wszystkie stanowiska cekaemów, rozpytywał się ochotników o to, który z nich zna się dobrze na broni maszynowej, a potem skoczył w tył zobaczyć, czy się tam ładuje pasy z amunicją. Na schodach domu, w którym się mieściło RKU, na Krakowskim Przedmieściu, siedziało kilku cywilów, szybko wyrównując maszynkami pod okiem kaprala ponapychane w pasy ładunki. Uspokojony wrócił do oddziału i, wszedłszy na dach jednego z domów obok uniwersytetu, przyglądał się Niemcom, w których bił umieszczony na tymże dachu ckm. Niemcy siedzieli przy stogach na wierzchu wzgórza. Teraz poczęła się ku nim posuwać nasza piechota, przedzierając się powoli przez kartofliska.

Wróciwszy do oddziału, Adam nie zastał tu już kapitana Wróblewskiego, którego wzywano do przodu. Wrzask cekaemów wzmógł się. Równocześnie parkiem ruszyła do przeciwnatarcia kompania Związku Strzeleckiego ze Skarżyska — garść wspaniałych bohaterskich smarkaczy liczących od 16 do 18 lat. Także i bateria polska posunęła się do przodu, wyjeżdżając przed uniwersytet i zajmując pozycję pod płotem kościoła garnizonowego.

Oddział począł przygotowywać się do skoku w przód. Adam rozglądał się naokół, oczekując jakichś rozkazów. Z oficerów był teraz sam, a tym samym oddział był pod jego dowództwem. Nie wiedział jednak, co ma robić.

Nagle ktoś go trącił w ramię. Odwrócił się i zobaczył Jankiewicza. Wachmistrz miał twarz szarą, a czerwone, z lekka zaropiałe powieki nabrzmiałe były łzami.

— Panie poruczniku, major nie żyje... — powiedział. Adama przeszedł dreszcz.

— Co!? W jaki sposób? Może to nieprawda?

Tyle przecież kursowało najfantastyczniejszych plotek.

— Nie. Widziałem sam. Wyjechaliśmy samochodem przed linię, na rozwidleniu szosy. Major zawsze chciał być przed wszystkimi. O innych się bał, o siebie nie dbał. Wysiadł z samochodu z mapnikiem w ręku. Począł się rozglądać. Wtedy wyskoczyło kilku Niemców zza krzaków i strzelili weń. Z bliska — z piętnastu może kroków. Padł od razu jak wór. Nawet nie drgnął. Krew tylko buchała falą i zalała cały mundur...

Głos Jankiewicza załamał się. Adam poczuł, jak cały jego zapał i pewność siebie gasną. Gdy nie stało Dudzińskiego, któż będzie bronił Lublina? Zbyt dobrze napatrzył się tamtym obrońcom miasta radzącym coś w kancelarii, ale nieobecnym na placu boju! Jakby dla powiększenia grozy położenia, słońce zaćmił czarny strzęp chmury i począł padać drobny, ale zimny deszcz.

— Ja padłem również — mówił dalej Jankiewicz — ale tylko po to, by ujść oczom Niemców. Krzakami przedzierałem się ku naszym. Zresztą mało mnie nie ustrzelili.

— Lecz może major jest tylko ranny?

— Oh — Jankiewicz wstrząsnął tylko ramionami. — Tyle razy widziałem go, gdy był ranny w bolszewickiej wojnie, lecz zawsze, choćby najcięższą ranę odniósł, widać było po nim, że żyje. Ale teraz padł jak wór — nawet nie drgnął. Nie, — to niepodobna — żeby żył.

Stali naprzeciwko siebie milcząc. Stukot cekaemów trochę się oddalił. Widać przeciwnatarcie posuwało się naprzód, mimo śmierci dowódcy. Deszcz przestał także padać, lecz słońce ukryło się już za chmurami. Było więc ciemno i ponuro.

Jurek i Mirek siedzieli na trawie koło bramy uniwersytetu. Adam równocześnie z Jankiewiczem popatrzyli na nich i bez słowa porozumieli się.

— Nie będziemy im o tym mówić w tej chwili.

Lecz obaj chłopcy musieli domyślać się prawdy lub ją przeczuwali. Jurek podchodził w poszukiwaniu do pierwszej linii, pla-

(dalszy ciąg na str. 6)

WOJCIECH NATANSON

UTYLITARYZM

Istnieje pewien typ myślenia, który prof. Leon Chwistek nazwał dosadnie „ordynarną filozofią". Jako jedną z cech charakterystycznych tej filozofii wymienić można skrajny i krótkowzroczny utylitaryzm. Dobre jest tylko to, co jest pożyteczne. A za pożyteczne uznać należy jedynie zjawiska przynoszące korzyść bezpośrednią, natychmiastową i dotykalną.

Utylitarystami byli przywódcy hitleryzmu. Goebbels napisał w r. 1942 artykuł, odmawiający racji bytu niemieckim intelektualistom. Rozumował tak: Naród potrzebuje obecnie takich pracowników umysłowych, którzy pomnażają jego siły. Należą tu: lekarze, inżynierowie, farmaceuci, pracownicy przemysłu zbrojeniowego, dziennikarze i t. p. Wszyscy inni są zbędni, a więc — szkodliwi.

Rozumowanie było absurdalne, nawet w granicach przyjętych przez autora założeń. Największą wagę w dziejach miewają nieraz prace, które zrazu wydają się czymś odległym od życia, abstrakcyjnym, nieużytecznym. Śmiano się z pierwszych lokomotyw, statki parowe uznawano za dziwaczne i bezpłodne połączenie wrogich żywiołów, „iruwające w powietrzu okręty" były w XIX w. przedmiotem konceptów, odkrycie radu wydawało się czystą ciekawostką.

Metafora poetycka, czyli spokrewnianie pojęć odległych, jest środkiem do dziś kwestionowanym. Są ludzie, którzy ją uważają za dziwactwo. Są tacy, co pragnęliby ograniczyć środki poetyckie do tradycjonalnych i skromnych porównań. Rewolucjonizm literacki uważają za niedopuszczalny. Metaforze stawiają zarzut „niezrozumialstwa". Ale czy naprawdę metafora jest aż tak bezużyteczna? Czy spokrewnianie pojęć odległych nie posiada wartości społecznej?

Mamy w żywej pamięci mowy Churchilla. W okresie konferencji moskiewskiej na jesieni 1942 roku premier brytyjski użył metafory, mówiąc o amerykańskim ministrze Cordell Hullu. Nazwał go „starym orłem, który przyleciał aż tak daleko na swych skrzydłach"... Spróbujmy się nad tym trochę zastanowić. Powiedzenie Churchilla jest obrazem o dużej kondensacji. Opancerzone skrzydła samolotu lśnią w słońcu, jakby były siwe. Skrzydła aeroplanu są równocześnie — w przenośni — skrzydłami pasażera. Ten pasażer jest stary, więc siwy; jest postacią dużej miary: orłem. Dzięki krótkiemu, metaforycznemu zdaniu Churchilla widzimy równocześnie, w ramach tej samej wizji: siwą głowę Hulla, skrzydła samolotu i ogrom pokonanej przestrzeni. Ktoś inny musiałby użyć wielkiej ilości zdań, by to wszystko wypowiedzieć. Churchillowi wystarczyła — jedna metafora.

Lecz metafora uczy nas nie tylko kondensacji. Czechowicz napisał przed wojną utwór teatralny, w którym ostatnie zdanie każdej sceny brzmi: „Zaczyna się". Sens tych słów był metaforyczny. Chodziło o wykazanie związku wszystkich zjawisk i wszelkich spraw. Człowiek tysięcznymi węzłami związany jest z całością świata. Kto o tym zapomina, gubi się w chaosie i pozornym bezsensie. Dlatego metafora pomaga nam pojąć (a nieraz i przekształcić, ulepszyć, na nowo zorganizować) otaczającą nas rzeczywistość.

(dokończenie ze str. 5)

tał się pod gradem kul, pytał się żołnierzy i oficerów. Nikt nie umiał dać ścisłej odpowiedzi, tym bardziej, że prawie równocześnie zginął inny major — major Horwatt.

W stronę linii podążał wózek sanitarny. Gdy wracał, Adam z przerażeniem zauważył, że wiezie on kapitana Wróblewskiego. Oficer był ciężko ranny w pierś, twarz miał bladą jak płótno. Z trudnością zdołał wyszeptać kilka słów do Jankowskiego.

Tak więc padali jeden po drugim obrońcy miasta, krwawo płacąc za swe bohaterstwo i upór. Lublin raz jeszcze miał wykazać Polsce i światu, że stać go na obronę przed najazdem wroga, na obronę nieustępliwą, zaciętą, krwawą, bohaterską. Do dziejów miasta tyle razy obleganego, tyle razy szturmowanego przybyła jeszcze jedna karta.

EDWARD WROCKI

Z poniewierek zabytków piśmiennictwa

Wiadomą jest rzeczą, że przedmiot żyje niekiedy znacznie dłużej od swego pana, użytkowicza, i że dla dalszej pożytecznej służby społeczeństwu musi od czasu do czasu zmieniać właściciela. Różne okoliczności mogą być powodem tej migracji: podział spuścizny — zwłaszcza kiedy spadkobiercy mają inne zainteresowania zawodowe lub przyzwyczajenia życiowe, — licytacje z wyroków sądowych, przeniesienie się do innej, odległej, miejscowości, nagłe wzbogacenie się lub bankructwo, a częstokroć po prostu chęć pozbycia się już niepotrzebnych rzeczy, stosów „papierzysk" pisanych i drukowanych, zawadzających pustych butelek i t. p.

W takich oto wypadkach przychodzi do głosu kupiec - pośrednik, który swoją uwagę skupia wyłącznie na rzeczach używanych, na starzyźnie, i właśnie z jej wędrówek czerpie środki do życia.

Podwórza dużych miast rozbrzmiewają od rana do wieczora nawoływaniem „handel — handel!" Otwiera się nagle lufcik i w rezultacie jakiś drobny interes jest ubity. Oczywiście rzeczy idą za bezcen, bo transakcja odbywa się w atmosferze zniechęcenia do sprzedawanych „rupieci" i zadowolenia, że ktoś po nie przyszedł.

Dość powiedzieć, że w Warszawie przedwojennej wszelakie ruchomości zarówno z nędznych izb, jak i z lokali wytwornych, dzień w dzień były znoszone i zwożone na sławetny Pociejów, który przedstawiał sobą niezwykle oryginalny i specyficzny widok. Tak zwane papierzyska, drukowane (książki, czasopisma, nuty) i pisane (nieraz bardzo wartościowe archiwalia), codziennie tam napływały w wielkiej ilości. Łatwo się domyślić, że ja, jako stary, zagorzały zbieracz muzykaliów, stale przebywałem na Pociejowie, należałem, że tak powiem, do jego typów. Ode mnie poszedł po Warszawie osławiony „piątaczek", którym zdobyłem względy sprzedawców. Nie mieli zazwyczaj czasu, ochoty ani miejsca na rozkładanie nut, woleli cały wór sprzedać na wagę lub wprost „na oko", bez studiowania zawartości, która jednak jako całość, wobec zasobności działu nutowego w moich zbiorach, często mi się nie nadawała. Makulatura szła przed wojną po 8—10 groszy za kilo, skusiłem więc handlarzy wspomnianymi 5 groszami za każdy wybrany zeszyt nutowy, których przeciętnie idzie na kilo ze 20 sztuk. Handlarze ci, dzięki niemal codziennemu widzeniu się ze mną i „robieniu" na mnie, jak się wyrażali, „wielkiego interesu", darzyli mnie niby przyjaźnią, jednak mojej polityki przez długie lata zrozumieć nie mogli i nawet odnosili się do niej ze słabo maskowaną ironią.

Nim ja, po powrocie z Petersburga w r. 1922, zjawiłem się na Pociejowie, nuty, od dziesiątków lat, nie stanowiły tam artykułu godnego specjalnej uwagi i, dostarczone na Pociejów, już po 15—30 minutach przechodziły masowo na własność któregoś z hurtowników makulatury, a od niego wszystko szło „na papier", gdyż handel nutami używanymi wówczas nie istniał w Warszawie, zbieraczy muzykaliów nie było. Do wyobraźni hurtownika przemawiał tylko gruby tom: opera, operetka i jeszcze szkoła były wycofywane z lekceważonej masy (zawierającej nieraz arcydzieła muzyki, rękopisy autorskie lub egzemplarze z własnoręcznymi dedykacjami kompozytorów). Te grubaski, wraz z książkami lepszymi „na oko", zasilały częściowo handel antykwaryczny przy Ś-to Krzyskiej i uliczne wózki książkowe, reszta zaś, w formatach większych, wędrowała do sklepików na zawijanie mydła lub wiktuałów, a w formatach mniejszych — wagonami na przemiał do papierni, na produkcję papieru rotacyjnego.

U handlarzy makulaturą wyrobiłem sobie przywilej przetrząsania całego składu z tym, że za wybrane kawałki zapłacę dwa razy drożej niż sklepikarka, której się kładzie papier na wagę bez wyboru — „jak leci".

Ileż to razy wypadło mi godzinami przewracać bez rezultatu zakurzone sterty prawdziwej makulatury i odchodzić, wysłuchując na pożegnanie zgryźliwych docinków zawiedzionego sprzedawcy!

W związku z moją działalnością kolekcjonerską poznałem dużo ciekawych typów wśród wózkarzy książkowych. Większość ich, jak sympatyczni dla mnie Herszek, Berek, Koper, Abram Złotykamień, łatwo przechodzili od handlu słowem drukowanym na inny towar sezonowy: jabłka, ogórki, pomarańcze i t. p. Jedyny Józef Nowodczyński uparcie trzymał się książek, które wprost kochał namiętnie. Dużo czytał, rozeznawał się dobrze w towarze i żądał niestety drogo, ale gdy miewał nuty-antyki, na które nie było odbiorcy, bo nikt z nich nie śpiewał ani grał, zawsze ofiarowywał je z uroczystą miną do „zbiorów muzycznych Edwarda Wrockiego!" Wobec takiego nastawienia Nowodczyńskiego starożytności nutowych u niego nie kupowałem. Tak samo było i z wycinkami artykułów o muzyce z dawnych periodyków. Mój przyjaciel wózkarz Nowodczyński zwykł był mawiać: „Nie żądają tego... Durnie! Nawet nie chcą spojrzeć!... Panu trzeba oddać za taniochę, to już wolę podarować, bo dobrą rzecz pan robisz". Oczywiście starałem się zrewanżować jak mogłem temu ciekawemu człowiekowi, który się gnieździł w ruderze na Rybakach.

U Fiszmana, co był przy Grzybowskiej, różnymi czasy nabyłem moc skarbów. Pewnego razu natrafiłem na wielotysięczny, pierwszorzędny zbiór nut, leżących jeszcze w alfabetycznym porządku (według autorów), mimo iż został przywieziony ze strychu jednego z domów ulicy Wiejskiej. Wielce zaintrygowany, w żaden sposób nie mogłem dociec, po kim był ten nadzwyczajny zbiór muzyki europejskiej. Udało mi się ustalić jedynie, że zgromadzony przed pierwszą wielką wojną, pochodził z Petersburga. Figurujące na nutach stemple przeważnie dawnych firm tamtejszych kazały wnioskować, iż ktoś przywiózł zbiór do Warszawy, przybywając do kraju w drodze repatriacji, i może wkrótce zakończył tu życie. Zbiór przeleżał szereg lat bezpańsko w domu, gdzie zamieszkiwał jego właściciel, nim dozorca nie sprzedał nut na papier.

Innym razem natrafiłem na prawdziwą kopalnię nut po większej części pisanych, lub też trudnych do ustalenia drukowanych: mnóstwo luźnych kart próbnych odbitek pozwalało przypuszczać, że materiały te pochodziły od kogoś, kto pracował w zakładzie nutorytowniczym. Z pisanych nut, zwalonych w strasznym nieładzie, złożyłem cierpliwie, nie żałując pracy, bo poznałem rękę Mistrza, prawie wszystkie karty autorskie rękopisu opery „Śnieżka" Rimskiego-Korsakowa. Gdy znakomity kompozytor nasz Witold Maliszewski (uczeń R.-K.) oglądał moje zbiory, był wprost oszołomiony widokiem oryginału tego arcydzieła, będącego chlubą muzyki rosyjskiej. Innym razem znowu natrafiłem na rękopisy paru pieśni Moniuszki, w tonacji innej niż ta, w której są wydane.

Kiedy indziej w tym samym źródle papierów przeznaczonych na makulaturę wpadły mi do rąk drobne rękopisy „ojca opery polskiej" Karola Kurpińskiego i szereg ciekawych wiadomości o koncertach z jego udziałem w Zborze Ewangelickim. W jakiś miesiąc zaledwie po śmierci świetnego naszego aktora Mieczysława Frenkla wygrzebałem w makulaturze dość znaczny plik nut stanowiących jego własność, wraz z autografami dedykowanych mu kompozycji, lub zaopatrzonych w napisy ofiarowawcze przez autorów, z okazji uroczystości jubileuszowej Frenkla. Oczywiście kupiłem czym prędzej ten skarb, płacąc dwukrotnie więcej niż sklepikarki, i nie mogłem pojąć, jakie wyrachowanie miała rodzina artysty, wyzbywając się pamiątek za marne wprost grosze, skoro ja z drugich już rąk nabyłem całość za kilka złotych.

Wspominam z sympatią pewnego szamesa, który trzymał towar w obsługiwanej przez siebie bóżnicy, gdzie i odbywaliśmy nasze transakcje.

Cenne materiały po kompozytorach Gustawie Roguskim, Adolfie Sonnenfeldzie, Ludomirze M. Rogowskim oraz drobne przyczynki do pracy szeregu innych naszych twórców czy też działaczy muzycznych, trafiły tą drogą do moich zbiorów, dając mi wiele radości. Cieszyłem się, że wzbogacam zbiory, a przede wszystkim że ratuję od zagłady cenne dokumenty -- unikaty.

Trudno wprost uwierzyć, iż tak ambitny naród jakim jesteśmy nie zatroszczył się we właściwym czasie o miejsce, gdzieby wszystkie pamiątki stanowiące dzieje naszego życia muzycznego przechowywały się wieczyście, by posłużyć za materiał dla opracowań monograficznych.

Szukając generalnego rozwiązania dla całokształtu zagadnień związanych z organizacją kultury muzycznej i w serdecznej trosce o przyszłe losy moich zbiorów, obmyśliłem, a już w roku 1915, czyli 30 lat temu, opublikowałem ujęty na razie graficznie szemat organizacji życia muzycznego w kraju. W syntetycznym tym planie uwzględniłem wszystko, co wchodzi w zakres kultury muzycznej w dziedzinie twórczej, naukowej, zawodowo - społecznej, administracyjno-państwowej, przemysłowo-technicznej i t. d. Wydałem mój projekt i rozpowszechniłem w kołach działaczy społecznych, ażeby wywołać krytykę i spowodować jak najrychlej ewentualne ulepszenia. Jeszcze dwukrotnie powtórzyłem wydanie, a od r. 1923 rozpocząłem istną kampanię w prasie i broszurach.

Realizacja mego projektu, którego postulaty leżą całkowicie w demokratycznym planie upowszechnienia kultury muzycznej w Polsce, nie znalazła niestety zrozumienia u ówczesnych czynników decydujących. Trudności, na jakie napotkałem, opisałem obszernie w pracy p. t. „Z doli i niedoli moich zbiorów muzycznych" (1937 r.). Obszerny ten temat nie mieści się w ramach niniejszego felietonu. Na zakończenie mych wspomnień o tym, jak tam było u nas z ginącymi pamiątkami, powiem, że nie mogąc odżałować strat ponoszonych przez naszą kulturę wskutek takiego stosunku do zabytków piśmiennictwa, zacząłem krzewić myśl, by Państwo (Ministerstwo Oświaty) lub jakieś towarzystwo naukowe, ewentualnie Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy, utworzyło na Pociejowie punkt skupu wszystkich napływających worków z papierami drukowanymi i pisanymi, które po przejrzeniu i wycofaniu rzeczy wartych przechowania byłyby odstępowane tymże hurtownikom.

Gdy razu pewnego zastałem makulatornię Kleinsingiera przy ul. Śliskiej wprost zawaloną masą akt z kancelarii zmarłego mecenasa Aleksandra Kraushara, znanego historyka, który, jak wiadomo, prowadził wszelkie sprawy literatów, i gdy po całodziennym grzebaniu znalazłem obwoluty z całą zawartością — takich arcyciekawych spraw, jak przewód sukcesyjny po Adamie Pługu, masywny blok spraw Elizy Orzeszkowej z jej listami i pokwitowaniami na kwoty otrzymane jako honorarium autorskie od firmy Gebethner i Wolff, poza tym całe archiwum obchodu jubileuszowego Marii Konopnickiej z rękopisem odezwy Henryka Sienkiewicza i mnóstwo listów różnych znakomitości, — to już udałem się z tym wszystkim do dyrektora Biblioteki Narodowej Stefana Dembego, podpowiadając mu, by zorganizował taki punkt skupu. No i cóż? Nic z tego nie wynikło. Marazm i indolencja mocno tkwiły w ówczesnym systemie rządzenia, co fatalnie wpływało i na dzielniejsze jednostki, do jakich Stefana Dembego niewątpliwie należy zaliczyć.

Pod rządami niemieckiego zaborcy krótko jeszcze brzmiały na podwórzach warszawskich wołania „handel —handel!" Pociejów niebawem zakończył swój ciekawy żywot, zamarły opisane wyżej makulatornie, znikły stare wózki. Pozostało jedynie wspomnienie o nich, miłe i smutne zarazem.

Obecnie książki leżą rozłożone szeregami na okaleczonych chodnikach ulic nieszczęsnej stolicy, we wnękach spalonych domów, w koszach na wyszczerbionych gzymsach, leżą mocno zakurzone i zawstydzone, że do czystych rąk spragnionego wiedzy obywatela dochodzą przez ręce szabrowników, złodziei, paserów i spekulantów.

KAZIMIERZ ZIELENIEWSKI

Plon sztuki wśród fabrykatów

„Pierwsza Wystawa i Targi Przemysłu Lubelszczyzny", zorganizowana i czynna od 25 września do 14 października w starodawnym polskim grodzie nad Bystrzycą, była zjawiskiem zgoła niespodziewanym w kraju tak dotkliwie przez wojnę zrujnowanym, po 4 i pół zaledwie miesiącach od zakończenia wojennych działań w Europie.

Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na gruzach zdewastowanego przez niemieckie barbarzyństwo ośrodka fabrycznego, przy ul. Łęczyńskiej, hen za miastem, oczyszczono i uporządkowano ze śmieci, chwastów i gruzów obszar ziemi liczący 1½ hektara. Doprowadzono do hal i budynków wystawowych instalację elektryczną, wyremontowano i oszklono gmach główny, pawilony mniejsze — dawne baraki powojskowe, wzniesiono bramę wjazdową, zazieleniono przestrzeń między budowlami. Sztandar narodowy zatknięty na szczycie komina fabrycznego łopotał i powiewał dumnie nad tym pięknym zbiorowym dziełem ładu organizacyjnego i inicjatywy państwowej, społecznej i prywatnej.

Przemysł upaństwowiony, spółdzielczość spożywcza, rolnicza i wytwórcza, fabryki, warsztaty i rękodzieła w prywatnym posiadaniu —wszystko rywalizowało w osiągnięciach naprawdę nieprzeciętnych, na miarę możliwości dzisiejszych. Hasła i sentencje w prasie, w mowach i w dyskusjach tracące z biegiem czasu, w miarę ich powtarzania, na ekspresji, na sile oddziaływania w społeczeństwie, nabrały na tej Wystawie plastycznej mocy, dźwiękowego patosu w stuku i warkocie poruszanych prądem maszyn. Odrodzoną tężyznę gospodarki Lubelszczyzny obrazowała wymowa wykresów, oprawa estetyczna stoisk, graficzne zilustrowanie odbudowującego się przemysłu, uprzemysłowiającej się wsi, elektryfikującego się rolnictwa, zacieśniającego się sojuszu produktywnej pracy chłopa, robotnika i inteligenta fachowca nad podniesieniem każdej gałęzi wytwórczości bogacącej ziemię lubelską i gruntującej ogólnopolski dobrobyt.

Tylko niebo wciąż zasępione i zapłakane szachowało rzetelny trud i mrówczą pracowitość organizatorów i współbudowniczych Wystawy. Zwolna też precyzowały się i krzepły zainteresowanie, uznanie i podziw dla osiągniętych w tak krótkim czasie wysiłków wystawowych ze strony czynników pozalubelskich. W ostatnim niemal dniu Wystawy padła wysoce miarodajna pochwała dla tego dzieła z ust Obywatela Ministra Handlu Zagranicznego. Był to pokaz godny zainteresowania wszystkich naszych kontrahentów zagranicznych w dziedzinie wznowienia udziału Polski w światowym handlu. Pocieszymy się tym, wobec tego, że przedłużenie Wystawy okazało się niemożliwe, — iż każda impreza taka jest ograniczona w czasie i że ta pomysłowość, energia, jakie towarzyszyły jej realizacji, dziś już zapewne są czynne nad zdyskontowaniem dotychczasowych osiągnięć wyzwolonego przemysłu lubelskiego w bieżących, normalnych zabiegach i pertraktacjach o rynki zbytu krajowej produkcji we własnej ojczyźnie i poza jej granicami.

Sztuka na wystawie przemysłowej... Utylitaryzm celów produkcji i fabrykacji wyklucza raczej ten składnik twórczości ludzkiej, w każdym razie odsuwa go na plan dalszy w planowaniu i w realizacji zdobyczy technicznych. Pomijając jednak momenty propagandowego, reklamowego upiększania wystawianych obiektów, należy stwierdzić, że nie brak było na Wystawie tej i stoisk, gdzie wzrok miłośnika piękna odkrywał nagle samorodne, integralne objawienie artyzmu, utrwalonego w tworzywie, w materiale, w surowcu służącym raczej celom użytecznościowym wyłącznie.

Oto, na przykład, Cech Fotografów Lubelskich zademonstrował przekonywująco, jak pięknym staje się papier biały, nasycony chemikaliami dla oka niedostrzegalnymi, pod działaniem precyzyjnych procesów optyczno-fizykalnych. Trzydzieści kilka starannie dobranych zdjęć fotograficznych ilustrowało szeroką skalę możliwości artystycznych tej najdemokratyczniejszej może sztuki graficznej, bo stosunkowo najłatwiejszej i w amatorskim opanowaniu, stopniując aparaturę i sprzęt pomocniczy od najtańszych do najbardziej selekcyjnych.

Zdjęcia najliczniejsze, na poziomie doborowej zawodowej rutyny fotograficznej, reprezentował Zakład „Foto-Sztuka" (R. Samojeden i inż. S. Szramowicz). Efektowna kompozycja chmur na horyzoncie i wielkiego gmachu użytkowego (elewator zbożowy w Lublinie), Zamek lubelski uchwycony obiektywem ze świetnie wybranego punktu z dalekiej odległości (w przedwojennej nieskazitelnej architektonicznej całości), nasycony światłem wnętrze Kościoła Garnizonowego, zdjęcie szczęśliwie pokonywujące trudności światła wewnętrznego w tym zabytku, kaktus rozkwitły (rzadki fenomen trwający niecałą dobę) na doskonałym belgijskim papierze fotograficznym, gmach lubelskiego Zarządu Miejskiego, dziś w ruinach, w całej dawnej świetności, wszystko to, obok innych majstersztyków zawodowych zdjęć technicznych, wyróżnione zostały słusznie Srebrnym Dyplomem Uznania. Istne perły kunsztu fotograficznego reprezentowały prace sygnowane przez Edwarda Hartwiga (Złoty Dyplom Uznania). Scena taneczna na polanie... Czy to nie wizja przeniesiona z dalekiego południa, z gallijskiego zachodu? Nastrojowość postaci i pejzażu wywołuje reminiscencje sztuki XVIII wieku. Może to Watteau, pozbawiony tylko kolorytu. W istocie jest to mistrzowskie zdjęcie polskich tancerzy w strojach ludowych dokonane w Krzczonowie, w Lubelskiem. Ascetyczna postać zatopionego w modłach zakonnika, zdematerializowany fantazją artysty obraz, roztapiający się w nieziemskich niemal smugach światła, odbiega zupełnie od pojęcia „zdjęcia z natury", rywalizując z najszlachetniejszą techniką rytowniczą. Bystrzyca we mgle, zakątek starego miasta, twarz dziecka, wibrująca każdym muskułem, każdą żyłką (w kąpieli), portret psa, istotnie jakby świadomie „pozującego" artyście, dopełniają rozległą gamę możliwości artystycznych E. Hartwiga w operowaniu obiektywem i transpozycji negatywu na papier.

Należy podkreślić, że dziś jeszcze przed fotografem, zarówno zawodowcem, jak i amatorem, piętrzą się poważne trudności w postaci braku doborowych klisz, filmów, papierów. Z polskich fabryk papierów fotograficznych czynna jest tylko fabryka w Bydgoszczy, z produkcją na rynek krajowy bardzo ograniczoną. Operuje się starym materiałem, okazjami głównie szabrownictwem zasilanymi, co nie przeszkadza w ogóle dalszemu planowi doskonalenia zawodowego, świadczących o dużej żywotności zwolenników tej umiejętności w Lublinie i okolicy.

W tymże pawilonie, gdzie zabłysnął talent fotografów, dostrzegliśmy obok zwykłych seryjnych wyrobów ślusarskich misternie kutą klamkę do drzwi kościelnych. Nad nią, na ścianie, zdjęcia ilustrujące inne osiągnięcia ślusarstwa ażurowego. Schody w gmachu lubelskiego Gimnazjum Biskupiego (na Czwartku), zdjęcie tym cenniejsze, że sam obiekt doznał niestety dosłownie „odbrązowienia", ulotnienia się brązów, zrabowanych przez maruderów, dalej artystycznie wykonane ogrodzenie, krata przed nagrobkiem Vettera, na cmentarzu ewangelickim, wreszcie nowoczesna aplikacja z białego metalu — front Apteki Haberlau, Tomaszewski i S-ka na Krakowskim Przedmieściu (gmach „Europy"). Wszystko to są prace Ślusarsko - Mechanicznego Zakładu A. Matyjasek w Lublinie. Firma ta, w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, ozdobiła niejeden kościół z Katedrą lubelską na czele, pięknymi kratami, żyrandolami, drzwiami ażurowymi i in. akcesoriami sztuki przetwarzania metalu w sprzęt zdobniczy zharmonizowany z mową kamieni w dziełach architektury, dawnych i nowoczesnych.

Dotykając tworzywa metalowego, nie sposób pominąć oryginalnej pracy Wacława Hubali na tej Wystawie. Jest to „Herb m. Zamościa", postać świętego Kuta w blasze ołowianej, praca umieszczona w stoisku firmy Tomasz Kendra.

Za szybami witryny Cechu Introligatorów wystawione były poprawne wzory opraw książek bibliotecznych, w płótno i półskórek. Okazuje się jednak, że ceny tych robót, a zarazem nieodzownych zabiegów celem konserwowania druków, pozostają wciąż jeszcze wysokie.

Na stoisko Cechu Stolarzy złożył się szereg mebli stylowych, wśród których wyróżniało się umeblowanie pokoju stołowego z drzewa orzechowego, fornirowane wewnątrz jaworem białym, robota firmy A. Lipińskiego (Złoty Dyplom). Taką nagrodę zyskał również fotel-leniwiec, uosabiający dążenie do wygody i komfortu, po wszystkie czasy cenione w meblach, niezależnie od przemijających gustów w stosunku do rozmaitych kolejnych stylów, zaprezentowany przez firmę J. Wojciechowskiego. Meble figurowały również w stoisku przemysłu fabrycznego (zamojskie zrzeszone zakłady państwowe), ale oczywiście stolarskie rękodzieła w tej dziedzinie, nie mówiąc już o zewnętrznym wyglądzie, pod względem trwałości zachowują pierwszeństwo. Inna rzecz, że ceny tych mebli stawiają je poza nawiasem normalnych obrotów handlowych, szczególnie wobec wielkich obrotów meblami używanymi, charakterystycznymi dla naszych czasów.

Ostatnim przejawem artyzmu w przemyśle na tej Wystawie, które zwłaszcza po cierpliwym zlustrowaniu innych stoisk, dopiero przy świetle elektrycznym oglądane, szczególnie pięknie wyodrębniało się wśród sąsiednich, była szklista zastawa, jakby zapraszająca do biesiady, zgrabnych dzbanuszków, misternych popielniczek, kształtnych talerzyków, rozmaitego „formatu" kieliszków wyrobu, jak głosił napis nad tą tafią uszlachetnionego szkła, „Huty Dubeczno". Obok prozaicznego szeregu jednostajnych zielonkawych butelek, z bukietem jakby pośrodku garnituru karafki, tacy i kieliszków, z jakimś arcy miłym barwnym zygzakiem na każdym, świadczył i ten pokaz sztuki na wystawie, jak tworzywo najbardziej fabryczne w masowym zastosowaniu, pod tchnieniem indywidualnego artystycznego ujęcia i mądrej technicznej przeróbki, nie tracąc cech użytkowych, nabiera najwyszukańszych cech piękna, po wszystkie czasy.

To, że po najstraszniejszym kataklizmie, jaki pastwił się nad sztuką polską, rzemiosło lubelskie, a obok niego i przemysł, zadokumentowały w tych opisanych wyżej przejawach sojusz umiejętności technicznych z dziedziną sztuk pięknych, stanowi samodzielną, chlubną kartę w dorobku Pierwszej Wystawy Przemysłowej Lubelszczyzny.

CZESŁAW JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

ZIMOWA MYŚL O KONWALII

Topiły się w tyglu wieczności
przedmaterialne mgławice,
w żółte skraplały się słońca,
w zielonomiedziane księżyce.
Eter kamieniał kryształny
w globów okrągłe łzy.
Rzeczywistniały widzialnie
JEGO sny.

Ląd się wynurzył z wód,
księżyc użyczył opali —
i z Ziemi wybłysnął cud:
ty, convalaria maialis,
ty, lasów kościelna świeca,
gajów koronka jedwabna,
ty najdzieciniej kobieca,
najbezcieleśniej powabna.

Życiu zjednana śnieżynko,
wieżyczko z słoniowej kości,
najwiosenniejsza roślinko
i najtęskliwsza wonności,
kwiateczku godny litanii,
srebrna za niebem nostalgio,
o, serca mojego pani,
konwalio.

Styczeń 1945.

KRONIKA

Szkolnictwo plastyczne Lubelszczyzny

Obecnie, kiedy przeprowadza się na łamach prasy kampanię przeciwko brzydocie i tandecie królującej w produkcji przemysłowej, a szczególnie w gałęzi przemysłu artystycznego, kiedy walczy się o to, ażeby każdy przedmiot, sprzęt i zabawka przeznaczone dla najszerszych rzesz odbiorców nacechowane były smakiem, estetyczną prostotą i inwencją artystyczną — specjalnego znaczenia nabiera na nowo organizujące się szkolnictwo plastyczne, przed którym otwierają się szerokie horyzonty. Nie może ono w dalszym ciągu odgrywać roli mniej lub więcej udanej namiastki „akademii". Od jego organizacji zależeć będzie nie tylko udział sztuk plastycznych w życiu, ale i wpływ na wszystkie dziedziny produkcji przemysłowej. Szkolnictwo plastyczne Lubelszczyzny zostało zorganizowane na nowych podstawach. W tej chwili czynne są trzy szkoły: w Lublinie, Siedlcach i Zamościu.

Lubelska Szkoła Sztuk Plastycznych rozszerzyła znacznie zakres nauki, który objął także i przemysł artystyczny. Program szkoły obejmuje czteroletni okres nauki. Pierwszy rok poświęcony jest wykładom i zajęciom praktycznym z dziedziny studium rysunkowego i kolorystycznego, modelowania, historii sztuki i t. d. Drugi rok jest kontynuacją pierwszego z dodaniem technologii mat. i kompozycji brył i płaszczyzn. Trzeci i czwarty rok podzielony jest na odrębne działy, gdzie następuje specjalizacja według wyboru studiującego: a więc dział grafiki użytkowej, dekoracji wnętrz, fotografiki, dekoracji teatralnych, malarstwa i rzeźby. Projektuje się także urządzanie kilkumiesięcznych kursów wieczorowych dla członków związków zawodowych i rzemieślników, z zakresu ceramiki artystycznej, malarstwa kościelnego i dekoracji wnętrz oraz roczny kurs dla kierowników świetlic i teatrów amatorskich.

W listopadzie r. b. nastąpi także otwarcie dwuletniego Kursu Tkactwa Artystycznego pod kierunkiem artysty malarza Janusza Świeżego przy współudziale Kuratorium Szkolnego i Ministerstwa Kultury i Sztuki. Kurs ma skupić i wyszkolić przede wszystkim zdolny element ze wsi. Projektuje się produkowanie wyrobów tekstylnych uwzględniających charakter regionu lubelskiego. Pomysł stworzenia żywego ośrodka regionalnego zasługuje tym bardziej na uwagę, że dotychczas napływały do Lubelszczyzny pseudoludowe fabrykaty artystyczne z Podkarpacia i Huculszczyzny, w największych ilościach z Kosowa, bardzo często pozbawione smaku i wartości artystycznej. W celu należytego zorganizowania zbytu wyrobów tekstylnych opartych na motywach lubelskich zostanie uruchomiony w Lublinie specjalny bazar.

Siedlecka Szkoła Przemysłu Artystycznego, której kierownictwo powierzone zostało ob. Irenie Karpińskiej, ma już za sobą rok wytężonej pracy i pozytywne rezultaty. Z zadowoleniem stwierdzić należy, że prace uczniów znajdujące się na wystawie szkolnej są na poziomie i świadczą o fachowym kierownictwie szkoły.

Na uwagę zasługuje również niedawno uruchomiona Szkoła Sztuk Plastycznych w Zamościu, pod kierunkiem artysty malarza Pakulskiego Lucjana. Szkoła jest należycie zorganizowana i posiada duże możliwości w kierunku dalszego rozwoju, a sprawa kształcenia młodego narybku w kierunku artystycznym potraktowana jest poważnie. Przy szkole istnieje także popularny kurs zagadnień estetyki życia codziennego, który obejmuje szereg odczytów i referatów dla szerszych rzesz społeczeństwa na temat nowych kierunków w malarstwie, sztuki i życia oraz podniesienia poziomu estetycznego przedmiotów codziennego użytku.

Szkolnictwo plastyczne rozpoczyna nowy okres rozwoju i dopiero przyszłość pokaże, czy spełnilo należycie zadanie wychowania przyszłego twórcy (artysty-rzemieślnika), oceniającego i rozumiejącego wartość gospodarczą piękna i nierozerwalne połączenie sztuk plastycznych z rzemiosłem i przemysłem.

Irena Woydygowska

KULTURA

WRACAJĄ DZIEŁA SZTUKI

Muzea polskie zestawiają w dalszym ciągu długie listy bolesnych strat, jakie poniosły w dziełach sztuki i pamiątkach narodowych przez chciwość i łupiestwo okupantów. Wśród tych smutnych obliczeń silnie uwypuklają się poszczególne radosne fakty odzyskania któregoś ze skarbów przeszłości. Wracają one na swe dawne miejsce dzięki obywatelskiej inicjatywie urzędów, instytucyj i jednostek.

Dzięki przychylnemu stanowisku Urzędu Ziemskiego i Wojewódzkiego Wydziału Przemysłowego w Krakowie, wszystkie zabytki z magazynów pozostających pod opieką tych instytucyj wydano Muzeum Narodowemu. Pośród nich znalazło się wiele pochodzących ze zbiorów państwowych, a porzuconych przez Niemców w magazynach w stanie opłakanym.

Część wielkich zbiorów, które ostały się w Krzeszowicach, zabezpieczyło Muzeum dzięki pomocy i współpracy Instytutu Badawczego Lasów Państwowych. Staraniem starostwa powiatowego, powiatowej komendy Milicji, a nadto komendy Milicji Obywatelskiej I Obwodu przejęło Muzeum około 20 obrazów z powiatu. Dyrekcja Grand Hotelu i Krakowskie Południowe Towarzystwo Transportowe oddały szereg zabytków, między innymi piękne meble, obrazy Stattlera itd. Zarząd Zjednoczenia Warszawskich Fabryk Baterii, Kraków, oddał ocalony z rąk niemieckich portret z XVI w., przedstawiający Stefana Batorego, pochodzący z Wawelu.

Inicjatywie prywatnej przypadło w udziale również ocalenie wielu bardzo wartościowych obiektów, a nawet całych kolekcyj. Na pierwszym miejscu należy wymienić bezcenną pamiątkę, wielką państwową chorągiew z czasów Zygmunta Augusta, którą zwiedzający przed wojną Zamek pamiętają wiszącą nad Szczerbcem. Ob. Karol Kurpielski prowadzący z ramienia Elektrowni Miejskiej prace na Wawelu w r. 1940, spostrzegłszy cenną pamiątkę narodową, ukrywał ją przez pewien czas na drutach wysokiego napięcia, z narażeniem własnego życia przeniósł ją do Muzeum Narodowego, któremu udało się przechować relikwię narodową do końca wojny i oddać ją Wawelowi. Ob. St. Bromboszcz i ob. Ogórek, komendant Straży Pożarnej w Siemianowicach, złożyli w Muzeum obraz Chełmońskiego p. t. „Trójka", zabrany przez Niemców z Galerii w Sukiennicach do jednego z reprezentacyjnych pałaców. Ob. Rudolf Brożek, pracownik cegielni „Bonarka", ocalił dla zbiorów publicznych całą kolekcję obrazów, przy czym dyr. inż. Michałowski ułatwił jej przejęcie, a wszyscy pracownicy cegielni życzliwie współdziałali.

Jak Niemcy rozkradali i rozwlekali pamiątki narodowe, tego dowodem serwis porcelanowy, ofiarowany przez Wojsko Polskie ks. Józefowi Poniatowskiemu, przechowywany przed wojną w Muzeum Narodowym w Warszawie. Serwis znalazła ob. mgr Cecylia Kurdziel w willi, w której mieszkał dygnitarz niemiecki Boepple, i zwróciła go Muzeum Narodowemu. Nie podobna wymienić wszystkich obiektów, które zostały w ten sposób wyratowane. Dyrekcja poprzestaje na wymienianiu osób, które zabytki wyłowione z odmętu powszechnej zagłady potrafiły ocalić dla użytku społeczeństwa. Są to ob. ob.: Z. Pankowicz, drowa Malkiewiczowa, Fr. Rybicki, P. Olszowski, B. Czech, mgr J. Piechocki, inż. J. Stiksa, Zb. Puka, J. Graj, A. Kwolewski, milicjant T. Żbik, A. Krzystek, J. Nagraba, M. Gawina, dr M. Podbiera, inż. Bronikowski, W. Mardeusz, A. Weber.

◆

OTWARCIE WYSTAWY „SZOPEN I JEGO WARSZAWA"

W Muzeum Narodowym w Warszawie otwarto wystawę „Szopen i jego Warszawa", zorganizowaną przez Instytut Fryderyka Szopena. Na uroczystość przybyli: wiceminister kultury i sztuki — Kruczkowski, prezydent miasta stołecznego Warszawy — Tolwiński, przedstawiciele władz i organizacji społecznych oraz liczni goście. Przed aktem otwarcia wystawy prezes komitetu wykonawczego uroczystości szopenowskiej Ładosz wygłosił przemówienie, w którym scharakteryzował nasz stosunek do Szopena, będący wyrazem największej czci dla tej genialnej postaci. Wystawa była urządzona z wielkim smakiem i nadzwyczaj starannie. Spośród eksponatów zwraca uwagę fortepian Szopena z autografem mistrza z roku 1848, a dalej piękna maska Szopena nieznanego pochodzenia znaleziona wśród gruzów kościoła św. Krzyża. Uzupełniają wystawę bogate zbiory, przedstawiające Warszawę w okresie życia Szopena, plany dzielnicy Szopena w przyszłej Warszawie w opracowaniu B.O.S. i t. d.

LITERATURA

NOWE WŁADZE ZW. ZAW. LITERATÓW W WARSZAWIE

W myśl uchwały ogólnopolskiego Zjazdu Delegatów Z. Z. L. P. w Krakowie odbyło się przewidziane przez nowy statut walne zebranie członków Oddziału Warszawskiego celem wyboru nowych władz.

Wybrano do Zarządu: J. N. Millera (prezes), Jana Szczawieja (sekretarz i skarbnik), Helenę Boguszewską, Marię Dąbrowską, Gabriela Karskiego, Wacława Rogowicza, Andrzeja Stawara (członkowie). Stanisława Dzikowskiego i Wandę Melcer (zastępcy).

Uchwalony projekt Domu Literatów w Warszawie przewiduje urządzenie go przy ul. Mokotowskiej 48, gdzie mieszkał Kraszewski. Tymczasowa siedziba Oddziału Warszawskiego mieścić się będzie w gmachu Ligi Morskiej (Widok 10), gdzie co poniedziałek odbywać się będą — dla ożywienia ruchu kulturalno-literackiego stolicy — wieczory autorskie i zebrania dyskusyjne.

W tym również celu zadecydował nowy zarząd założenie własnego tygodnika literacko-społecznego. Ma on nosić tytuł „Warszawa".

◆

„WARSZAWA"

W najbliższych dniach ukaże się pierwszy numer tygodnika literacko-społecznego „Warszawa", pomyślanego w ten sposób, że ma on być trybuną warszawskiej myśli literackiej i dowodem, że Warszawa zamierza znów stać się centralnym ośrodkiem kultury i myśli polskiej.

W piśmie tym, redagowanym przez komitet z prezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie Janem Nepomucenem Millerem na czele, będą współpracowali wszyscy pisarze warszawscy.

KONKURS NA UTWÓR POETYCKI LUB DRAMAT POŚWIĘCONY WARSZAWIE

Oddział Warszawski Zw. Literatów Polskich ogłasza konkurs na utwór dramatyczny lub poetycki, nadający się do wykonania na scenie lub estradzie, poświęcony Warszawie, bądź jej losom wojennym i okupacyjnym od września 1939 r., bądź odbudowie stolicy.

Łączna wysokość nagród wynosi 25 tys. zł. Do sądu konkursowego wejdą: B. Korzeniewski. E. Kozikowski, J. N. Miller W. Rogowicz.

Termin nadsyłania prac 31 grudnia 1945 r. Prace nadsyłać należy w zapieczętowanej kopercie, opatrzonej godłem (nadto w załączonej, zamkniętej kopercie — nazwisko autora) do Sekretariatu Zw. Zaw. Lit. Polskich, ul. Czerniakowska 131/22.

◆

ZE ŚRODY LITERACKIEJ

Wieczór autorski Anny Kamieńskiej, której twórczości poświęcono kolejną środę literacką, był lirycznym wyznaniem poetki dalekiej od koncepcji idealistycznych w literaturze, mierzącej świat kryteriami fizycznymi i matematycznymi. Kamieńska, jeśli potrąca myślą filozoficzną rejony świata metafizyki, to metafizyki dalekiej od wszelkich peryferii mistycyzmu. Przeżycia i myśli bliskie pokoleniu lat wojennych znalazły pełny oddźwięk wśród publiczności lubelskiej. Wiersze młodej poetki cechuje konwencjonalny układ; zasługuje jednak na podkreślenie rewolucyjne wprowadzanie pierwiastka dualistycznego odczuwania przyrody. Proza poetycka formalnie na wysokim poziomie. Językiem obrazowym maluje autorka niewystarczalność i względność ludzką na tle niewzruszonej, pełnej dynamiki i siły natury. **J.N.**

FILM

„GDZIE JEST NASZ DOM?"

Reżyserzy Irena i Tadeusz Byrscy ukończyli realizację filmu wg. własnego scenariusza p. t. „Gdzie jest nasz dom?" Film opowiada autentyczną historię dzieci warszawskich, które w lecie 1944 r. wyjechały na kolonie letnie i wskutek działań wojennych przez długie miesiące pozostawały z dala od domu rodzinnego, oczekując chwili wyzwolenia i powrotu do najbliższych.

Zdjęcia wykonał operator Stanisław Rodowicz. Ilustrację muzyczną skomponował Artur Malawski.

Film montuje Antoni Bohdziewicz.

◆

FILM O ZIEMIACH ZACHODNICH

W realizacji znajduje się film p. t. „Jesteśmy tu od wieków", poświęcony odzyskanym terenom zachodnim. Zapoznaje on nas z krajobrazem i tradycjami kulturalnymi odwiecznych ziem piastowskich, ilustruje ich bogactwa naturalne oraz dzisiejszy stan gospodarki i przemysłu tych obszarów. Końcowe fragmenty poświęcone są odradzającemu się życiu polskiemu na ziemiach zachodnich.

◆

NOWE FILMY RADZIECKIE W POLSCE

W najbliższym czasie na ekranach kin polskich ukażą się trzy filmy nowej produkcji sowieckiej: 1) „Walery Czkałow" — o słynnym lotniku radzieckim, który przeleciał do Stanów Zjednoczonych trasą, wiodącą przez biegun północny. 2) „Pojedynek" – film szpiegowski. 3) „Cztery serca" — film komediowy.

PLASTYKA

JESIENNY SALON PARYSKI

Jesienny Salon paryskiego malarstwa współczesnego na rok 1945 stoi pod znakiem mistrza Matisse. Dzieła Matisse'a reprezentowane są w 40 egzemplarzach. Ponadto wystawione są prace malarzy młodego pokolenia, jak Bernard Lejoux, de Valoquie, Coutoux i innych. Współczesne malarstwo francuskie nic nie straciło ze swych tradycyjnych walorów: orgii barw, romantycznego a zarazem rzeczowego ustosunkowania się do rzeczywistości, fantazji miarkowanej poczuciem realizmu. Młode pokolenie malarzy francuskich zerwało z dawnymi hasłami krzykliwości tonu i barwy oraz mozolnej walki z materią, cechującej epokę impresjonizmu i kubizmu. Naczelnym dążeniem jest umiar uczucia i efekt formy oraz barwy. Tegoroczny Salon, pierwszy od uwolnienia Paryża, stanowi równocześnie hołd dla Pablo Picasso, mistrza postawionego poza nawias przez okupantów niemieckich i specjalnie przez nich tępionego.

MUZYKA

Z SALI KONCERTOWEJ

Sezon koncertowy w Lublinie jest w pełni. Na pierwszy plan wysuwają się koncerty Orkiestry Symfonicznej Lub. Tow. Muzycznego, która żywo rozwija swą działalność, starając się stale o rozszerzenie swego repertuaru, co w obecnych warunkach jest rzeczą niezmiernie trudną, oraz o podniesienie swego poziomu artystycznego. Jest to niezaprzeczona zasługa dyrygenta Zygmunta Szczepańskiego, który mimo braku odpowiednich funduszów na należyte skompletowanie orkiestry przez wybitniejszych instrumentalistów kieruje się w swej działalności doborem utworów najbardziej wartościowych, nie rezygnując nigdy, mimo niezliczone trudności, z rzetelnego podejścia artystycznego do swej pracy w zakresie symfoniki.

Mieliśmy możność to stwierdzić na III-im w bież. sezonie koncercie symfonicznym z II-gą symfonią Beethovena oraz „Rosamundą" Schuberta na czele. Słaby kwintet smyczkowy, a w nim niedostateczna obsada skrzypiec pierwszych, zaważył jednak mocno na brzmieniu orkiestry. Biorący udział w koncercie jako solista Tomasz Dąbrowski posiada głos o szerokiej kantylenie i miękkości brzmienia. Niewyraźna jednak dykcja odbijała się ujemnie na wykonaniu arii z „Halki" i „Strasznego Dworu". Przykrym dyssonansem w stylowo ułożonym programie koncertu stanowiły dwa naddatki włoskie w lekkim stylu.

II-gi i III-ci Poranek Symfoniczny przyniósł publiczności lubelskiej, oprócz powtórzonych utworów z programów poprzednich, zawsze ze szczerym entuzjazmem przyjmowane wyjątki z „Halki" w wykonaniu orkiestry oraz solistów: Janiny Kelles-Krauze i bardzo dobrze zapowiadającego się głosowo Bogdana Paprockiego. Z radością należy powitać ukazanie się na estradzie chóru „Lutnia", który po dłuższej przerwie wakacyjnej wziął udział w III-im poranku symfonicznym.

* * *

Zorganizowany przez Centr. Biuro Koncertowe recital skrzypcowy Ireny Dubiskiej w sali Tow. Muz. w Lublinie wzbudził duże zainteresowanie zarówno ze względu na walory artystyczne solistki, jak i z powodu braku w Lublinie od dłuższego czasu (5 miesięcy) recitalu skrzypcowego. Nieco chłodny sposób interpretacji o przewadze elementu refleksyjnego zdaje się predystynować Dubiską do wykonywania utworów repertuaru klasycznego, jak również utworów nowoczesnej literatury skrzypcowej. Pod tym kątem został ułożony program koncertu. Za wyjątkiem „Sonaty Diabelskiej" Tartiniego nie usłyszeliśmy jednak ani jednego większego utworu cyklicznego, pomimo istnienie ku temu warunków dzięki świetnemu akompaniamentowi prof. J. Lefelda. Żywo oklaskiwano utwory takie jak: „Fontanna Aretuzy" Szymanowskiego, „Romans" Zarzyckiego oraz walc Debussy'ego. **Jan Szorc**

WYDAWNICTWA

NOWE WYDAWNICTWA

„Kamena". Po sześciu latach przerwy ukazał się pierwszy numer miesięcznika poetyckiego „Kamena", wydawanego w Chełmie Lubelskim przez znanego poetę i tłumacza Kaz. Andrz. Jaworskiego. Z prawdziwą radością witamy to pismo, głoszące w słowie od redakcji: „niech piękno słowa polskiego dławione przez niemieckiego zbrodniarza zabrzmi znowu pełnym i czystym głosem wyzwolonej Ojczyzny". Na specjalną uwagę w pierwszym zeszycie zasługuje praca K. Wyki p. t. „O Józefie Czechowiczu" oraz artykuł K. A. Jaworskiego „W 75-lecie śmierci Hercena". Najwięcej miejsca poświęca „Kamena" poezji, tak polskiej, jak i tłumaczeniom z języka rosyjskiego. Całość zamykają „Noty".

„Życie literackie" (9/10) — Nowy numer poznańskiego „Życia literackiego" zawiera, jak i poprzednie, bogatą treść, treść doskonale dobraną i ułożoną. Obok opowiadania A. M. Świnarskiego „Orły Prometeusza" widzimy fragment z powieści o Norwidzie, pióra Hanny Malewskiej, oraz Z. S. Morstinowej „Dante aktualny". Doskonale przedstawia się też dział poetycki (E. Kołoniecki, Czesław Miłosz, Ryszard Matuszewski). Specjalną sympatię czytelników zyskał sobie dział „Przechadzki literackie", gdzie polską rzeczywistość literacką oglądamy w krzywym zwierciadle. Tam właśnie śmiało i bezwzględnie tępi się tak u nas szeroko rozkrzewioną megalomanię i niezdrową „kapliczkowość". „Życie literackie" należy w tej chwili do najlepiej i najpoważniej redagowanych u nas pism literackich.

BIBLIOGRAFIA

MANIFEST POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO. Nakładem Informacji i Propagandy Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Lublin, Sierpień 1944 r. Str. 14 + 1 nlb.

POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO — W ŚWIETLE DOKUMENTÓW. Wydanie Wydziału Informacji i Propagandy Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Lublin, Sierpień 1944 r. Str. 16.

BRATNIA POMOC STUDENTÓW UNIWERSYTETU MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ W LUBLINIE. — INFORMATOR AKADEMICKI NA ROK 1945/46. Lublin, wrzesień 1945 r. Str. 19 + 1 nlb.

TEATRZYK ŻOŁNIERZA, zeszyt 3, Warszawa. Lublin 1944. Oddz. Propagandy Głównego Zarządu Polit.-Wychow. Wojska Polskiego.

WASOWSKI J. — PODRÓŻ DO ZSRR. Lublin 1945. Tow. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. S. 43.

WAŻYK A. — SERCE GRANATU. Lublin 1944. Związek Zawodowy Literatów Polskich. S. 30.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J. F. w Łodzi. — Prosimy o dalsze materiały. „Jesień" nie do druku.

J. B. w Łosicach. — Ocenę możemy wydać dopiero po nadesłaniu wspomnianej noweli.

„Or". — Żałujemy, ale niestety — słabe.

T. M. w Poznaniu. — Jeden z wierszy p. t. „Łaska" może pójdzie. Pozostałe nie wychodzą poza ramy prób.

J. Kr. w Lublinie. — Z nadesłanych wierszy wyróżnia się „Jesień". Proszę pracować dalej.

P. K. w Krasnymstawie. — Żaden z nadesłanych utworów nie nadaje się do „Zdroju".

Z. B. w Warszawie. — Wiersze mają szlachetną tendencję, ale słabą formę. Należy wiele czytać i pracować nad pogłębieniem formy.

J. O. w Lubartowie. — „Ballada" dość konwencjonalna.

A. C. R. w Lublinie. — „Być nerwem nocy. Płynąć ulicą pieśnią", to utwór sygnalizujący zdolności. Prosimy o dalsze prace. Może będą dojrzalsze.

SPIS TREŚCI:

Józef Grabowski — Zagadnienie upowszechnienia kultury.
Jan Wiktor — Droga przez wieś.
Aleksander Wielhorski — Polska muzyka a społeczeństwo.
Helena Platta — Śmierć partyzanta.
Maria Bechczyc-Rudnicka — Zwycięstwo Fredry.
Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Don Kichot.
Wiktor Ziółkowski — O propagandę polskiej sztuki ludowej.
Stefan Plewiński — Ziarna na ugorach.
Jan Dobraczyński — Tragiczny wrzesień.
Wojciech Natanson — Utylitaryzm.
Edward Wrocki — Z poniewierek zabytków piśmiennictwa.
Kazimierz Zieleniewski — Plon sztuki wśród fabrykatów.
Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Zimowa myśl o konwalii.
Kronika.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45.

Redakcja przyjmuje poniedziałki, środy i piątki od godz. 14 do 15.

Administracja czynna codziennie od godz. 9—12 i 16—18.

Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się.

Cena numeru dwutygodnika „Zdrój" 5 zł. Prenumerata kwart. wraz z opłatą pocztową 36 zł.

Redaguje: Zespół. Wydaje w imieniu zespołu: FRANCISZEK TWARDOŃ.

Zakł. Graf. J. Pietrzykowski, Lublin, Kościuszki 4

A-4082